CENA 15 zł

Wiatr od Morza

CZASOPISMO POŚWIĘCONE POLSKIEJ KULTURZE MARYNISTYCZNEJ

ROK I — Gdańsk-Gdynia, kwiecień 1946 r. — NR 3

BOLESŁAW WIT ŚWIĘCICKI

LITERATURA NA SZARYM KOŃCU

Niech wolno będzie publicyście, przetrawiającemu codziennie problemy polityczne, zająć się sprawą literatury.

Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy przeciętnemu śmiertelnikowi wara było wkraczać w regiony sztuki, domenę pięknoduchów, żyjących poza granicami powszednich zjawisk, odgrodzonych „chińskim murem“ wypoetyzowanego nadczłowieczeństwa od szarej masy ludzkiej.

Absorbuje nas specjalnie postawa literatury wobec życia i jego nowego nurtu.

Nadzieje, jakie pokładano w sprecyzowaniu tej postawy i wytyczeniu choćby krótkofalowego planu działania przez pierwszy po wojnie zjazd literatów polskich, zawiodły. Zjazd ten wprawdzie wydał deklarację ideową, akcentującą w mocnych patetycznych słowach odgrodzenie się pisarzy polskich od faszyzmu i idei wstecznictwa, tudzież wolę współdziałania przy kształtowaniu się takiej psychiki nowego człowieka, aby stanowiła ona gwarancję, że zbrodnie straszliwej wojny nie powtórzą się nigdy, lecz nie umiał się zdobyć na ustalenie właśnie wspomnianego powyżej krótkofalowego planu działania i ustanowienia hierarchii zadań dla pisarzy zawodowych w wyzwolonej, niepodległej i demokratycznej Polsce.

Od ogłoszenia Manifestu Lipcowego na Olimpie polskim nic się nie zmieniło. Nie pojawiła się dosłownie ani jedna książka: powieść, zbiór nowel, zbiór poezji, dramat, czy komedia, której treść byłaby dostrojona do diapazonu deklaracji krakowsk. z dn. 2.9.1945 r.

Sprawa polskiej sztuki, a osobliwie polskiej literatury, musi być rozpatrywana w płaszczyźnie palących zagadnień społecznych. Czas ostatni zerwać z teorią o olimpijskiej nadrzędności tej gałęzi produkcji mózgu ludzkiego. Literat nie jest ani lepszym, ani gorszym (w sensie społecznej równości człowieka) od każdego innego pracownika intelektualnego czy fizycznego.

Powie ktoś: ależ to herezja! Czyż aż tak dalece mamy posunąć się w niwelowaniu starych pojęć że nie bierzemy w rachubę zagadnienia talentu i geniuszu? Wcale tak źle nie jest. Ale „talent“ i „geniusz“ nie stanowią monopolu wyłącznie dla literatów. O ten monopol mogłyby się ubiegać również: fizyka, chemia, czy mechanika, lecz i to byłoby niesłuszne. Geniusz przejawił się kiedyś jeszcze w człowieku z epoki kamienia łupanego. Historia kultury i rozwoju cywilizacji może wszak dostarczyć nam tysiące przykładów, że geniusz ludzki nie przejawiał się wyłącznie w atmosferze cieplarnianej i w oranżeriach koneserów i mecenasów sztuki. Trzeba wreszcie zdać sobie dokładnie sprawę, że ściśle określony zawód, a zatem i zawód literacki nie tylko może, ale powinien i musi wykonywać właściwe tylko jemu funkcje, a w epoce planowej gospodarki społecznej nie tylko może, ale powinien i musi precyzować swoje zadania w zakresie współdziałania w realizacji podstawowych nakazów czasu z całym narodem.

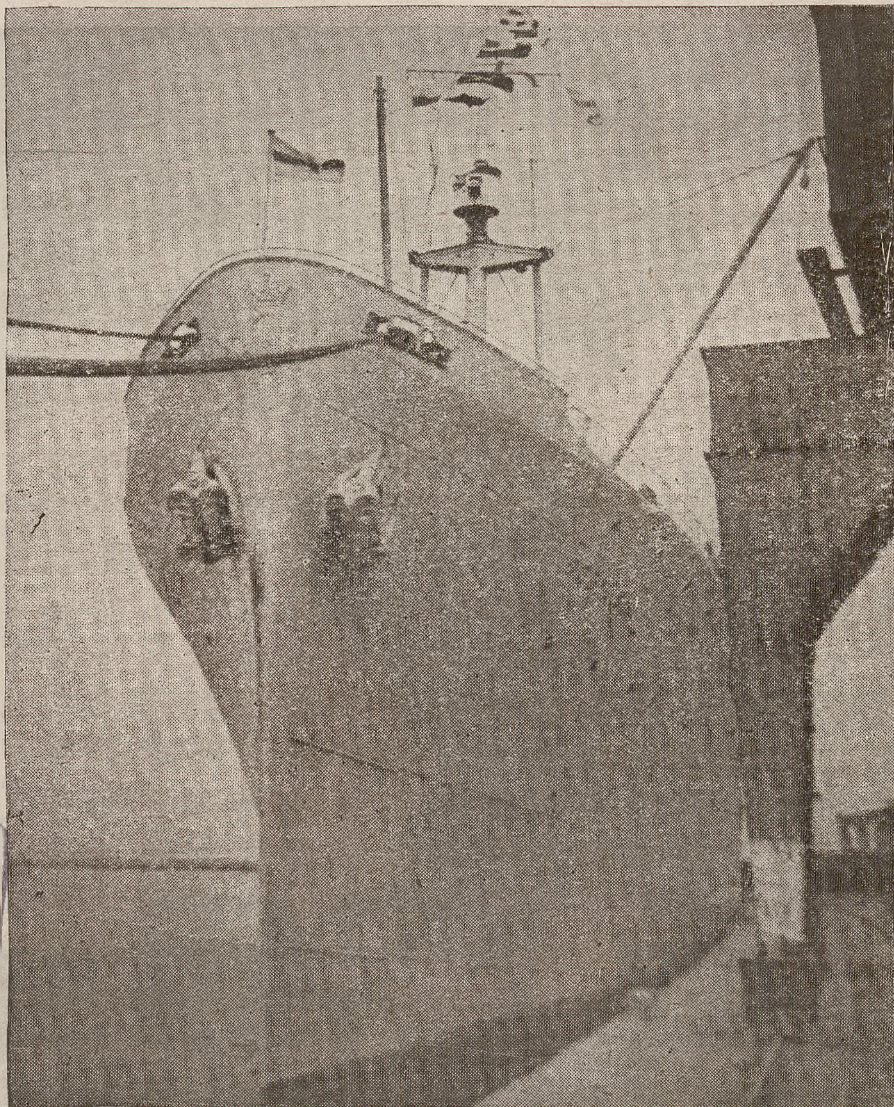
Doskonale rozumiemy, że w obecnej, nowej epoce literat, artysta-malarz, rzeźbiarz, muzyk, czy aktor musi być otoczony troską państwa, niegorzej jak wykonujący najcięższą pracę robotnik fizyczny w fabryce, kopalni, w portach i na przeładunkowych stacjach kolejowych, że państwo musi zagwarantować im, stosownie do znaczenia i wymogów ich specyficznej pracy, możliwie najlepsze warunki bytowania. Rozumiemy, że, gdy tego nie będzie, gdy doktrynerzy i ideolodzy polityczniześrodkowują swoje zabiegi wyłącznie na zagadnieniu opieki państwa nad pracownikami zawodów masowych: drobnym rolnictwem, robotnikami różnych eksponowanych branż, urzędnikami, czy nauczycielstwem, przyznając tylko tym zespołom prawo do specjalnej opieki ze strony demokratycznego rządu, a literaturze i sztuce pozostawią, zgodnie z pojęciami znamienitego odsetka panów literatów i artystów wygrywanie szans „talentu“ i „geniuszu“, to „Olimp“ przeniesie się na kanonie i do suteren, a co sprytniejsi jego koryfeusze śpiewać będą „sobie a muzom“ na salonach „możnych“ nowego porządku rzeczy.

Co nas tutaj, na publicystycznym posterunku nadmorskim, najbardziej pasjonuje, to paląca nieodzowność — mówimy bez dezynwoltury — państwowa, życiowa konieczność wprzęgnięcia do pomyślnie zarysowującego się procesu pracy nad przekształceniem psychiki polskiej (w zgodzie z duchem czasu i nowymi warunkami geopolitycznymi Polski) możliwie licznego zastępu zawodowych literatów i artystów. Chodzi nam o to, ażeby przy tworzeniu się nowych zrębów kultury polskiej, której głównym źródłem staje się morze, nie zbrakło artystów słowa, plastyków i muzyków, ażeby przyszli co rychlej w sukurs naukowcom, odtwarzającym zamierzchłą przeszłość piastowską tych ziem, ideologom i publicystom, ustalającym dla tych ziem nowe perspektywy rozwojowe, dziennikarstwu, odzwierciedlającemu nurt nowego życia, ekonomistom, inżynierom, technikom i wykwalifikowanym czołówkom robotniczym w realizowaniu w codziennym mozolnym trudzie planowych zadań państwa. Polska Demokratyczna chce zdyskontować ofiarny współudział całego narodu w zwycięstwie nad Niemcami i nie chce stracić ostatniej bezprecedensowej szansy dziejowej do ustalenia na wieczne czasy swego panowania nad morzem i ziemiach tworzących jego naturalne, odwieczne zaplecze — z arterią Wisły i Odry.

Chcemy dla przyszłości Polski Demokratycznej, ażeby co rychlej wszystkie przejawy ofiarnej pracy nad jej montowaniem wyrażały się w współudziale wszystkich twórczych sił narodu.

Nie jest celem tego artykułu drobiazgowa analiza osiągnięć rodzimej literatury w ogólnonarodowym wysiłku, gdyż prawdę powiedziawszy wysiłek literatów i artystów w dosłownym naszym rozumieniu misji literatury i sztuki, jak dotąd w ogóle się nie przejawił. Lecz chodzi nam o to, ażeby w poglądach na misję obywatela Nowej Polski starożytne greckie pojęcie ostracyzmu zreflektowało i bogów i muzy Olimpu polskiego, że obecna chwila nie zasadza się na odrzuceniu wszystkich ustalonych pojęć z tak nawet zamierzchłej przeszłości i że nie należy tak uporczywie odgraniczać się od nurtów teraźniejszości.

Mamy za sobą pierwszy rok wolności nad Bałtykiem, Odrą i Nisą, budujemy w oparciu się o prastare granice Bolesława Chrobrego nowoczesne państwo polskie z ogromnym nakładem wysiłku całego narodu przy prawie że kompletnej absencji literatury. To nie jest w porządku.



M/s „Sobieski“ w porcie gdańskim

Fot. E. Zdanowski

MARIAN BRANDYS

SMAK WYZWOLENIA



Wrzesień 1939-go roku w Gdyni

Leżą przede mną fotografie. Przypadkowy zespół zdjęć, jakich dziesiątki znaleźć można było w portfelu każdego szanującego się gestapowca, albo członka niemieckich plutonów egzekucyjnych. Zdjęcia takie żołnierze Wehrmachtu wysyłali swym narzeczonym z sentymentalnym dopiskiem „Andenken aus Polen" tak, jak przed wojną zwykło się było pisywać: — pamiatka z Krynicy, lub Zakopanego. Zdjęcia, które mam przed sobą, sumienny posiadacz wylepił w równych szeregach na ciemnym kartonie, łącząc je w całość wymownym komentarzem: „Z pobytu Niemców na Wybrzeżu".

Jedno z nich przedstawia ulice zmasakrowanego miasteczka. Między płonącymi domami rozbawieni hitlerowscy knechci pędzą przed sobą grupkę wynędzniałych przerażonych kobiet, przynaglając je do pośpiechu bagnetami i kolbami. Na drugim zdjęciu tłusty SS-man zdziera godło państwowe z gmachu rządowego w Gdyni. Na trzecim sześciu klęczących chłopców z zawiązanymi oczami, obok pluton oprawców w stalowych hełmach składa się do strzału. Dalej koszmarne wnętrze fabryki tłuszczu ludzkiego w Gdańsku, pancernik „Gneisenau" w niemieckiej bazie wojennej Gotenhafen i — drewniana, posiekana przez pociski historyczna tablica z napisem: Westerplatte...

Te fotografie-dokumenty są w tym samym stopniu, co tysiące innych im podobnych, przykre, brutalne i przygnębiające. Ale oglądane dzisiaj, w pierwszą rocznicę wyzwolenia Wybrzeża, tracą złą siłę swego wyrazu. Pozostają okrutne, ale koszmar ich już nie przestrasza, lecz staje się kojący. Studiowanie ich dzisiaj sprawia satysfakcję, z jaką ogląda się po wyrwaniu zepsuty ząb, który bolał długo i rzetelnie. Okrutna treść tych fotografii w błogi sposób podkreśla odmienność dnia dzisiejszego. Przemawia silniej od świątecznych flag i transparentów. Te fotografie wydobywają z zapomnienia i uintensywniają, już niemal zagubiony w ciągu długich dwunastu miesięcy **smak wyzwolenia.**

Smak wyzwolenia! Było to bardzo dawno, bo aż przed rokiem. Dochodziliśmy do kresu naszych sił, wydani w sposób brutalny na łup bandyckiej przemocy wroga. I wtedy spadła na nas wolność. Spadła nagle i oszałamiająco jak spełnienie cudu. Przyniósł ją nam chłopak w wymarzonym zielonym mundurze, ale z innym orzełkiem na czapce — żołnierz nowego polskiego wojska. Przywiózł ją nam na czołgu z niezmierzonych. rosyjskich równin płowowłosy Iwan. osmolony prochem i kurzem wielu zwycięskich bitew.

Chwila, w której braliśmy naszą wolność wraz z wróconym życiem z rąk tych dwóch wybawców, była jedyna i niepowtarzalna. Uznaliśmy ją za skwitowanie krzywd przeszłości, za generalną absolucję dla wszystkich złośliwości losu, które miały jeszcze nastąpić. Smak wyzwolenia upił nas i odurzył. Wracaliśmy do życia i do człowieczeństwa.

Ale po święcie wyzwolenia przyszedł twardy dzień powszedni. Błogi smak wyzwolenia rozpłynął się w poniedziałkowym kociokwiku powojennych trudności. Wymarzony żołnierz-wybawca po powrocie do koszar zszarzał nam i spowszedniał. Okazało się wtedy, że jest znacznie mniej szykowny od przedwojennego szwoleżera i wzięto mu to za złe. Kiedy płowowłosy Iwan zlazł ze swego czołgu i starł z usmolonej twarzy kurz prochu, odebraliśmy mu naszą życzliwość. Stał się „drugim okupantem". Pojedyncze gwałty zdemoralizowanych sześcioletnią wojną maruderów przeważyły sławę jego wyzwoleńczych bitew. Wyzwoleńczy dług wdzięczności począł nam ciążyć, więc zgodnie z polskim umiłowaniem cudów, przenieśliśmy go na rachunek nieba. Zresztą znaleźli się pośród nas tacy, którzy, potępiając nową rzeczywistość, mówili otwarcie, że za taką wolność, jaka jest, w ogóle nie warto być wdzięcznym. W drobiazgowym rachunku dnia powszedniego zabrakło miejsca na rozważanie pozycji o znaczeniu zasadniczym. Smak wyzwolenia zgorzkniał i począł zanikać coraz wyraźniej.

Czy należy przez to rozumieć, że zatarła się w nas pamięć o wydarzeniach roku ubiegłego, że nad ich historycznym sensem przeszliśmy tak prędko do porządku dziennego, że powszednie troski i trudności zabiły w nas całkowicie świadomość naszego Wielkiego Wyzwolenia? Czy należy przez to rozumieć, że kiedy dziś wzdłuż pięćsetkilometrowego Wybrzeża wywieszono narodowe flagi i grzmotem orkiestr czci się pierwszą rocznicę wyzwolenia, to ta podniosła uroczystość jest jedynie martwym ceremoniałem, aktem urzędowym, nie znajdującym pokrycia w sercach: portowego robotnika, marynarza, urzędnika i inżyniera? — Absolutnie nie! Wiemy, że jest zupełnie inaczej.

Oto Gdynia. Miasto przed rokiem okaleczone i wymarłe. Przed dwunastoma miesiącami poczęli wracać jej pierwsi mieszkańcy, wysiedleni przez niemieckiego okupanta. Wraz z nimi przyciągnęły rzesze ludzi nowych ze wszystkich polskich miast, których przywabił tu idący od morza wiatr. Poszły w ruch pracowite ręce robotników, marynarzy i inżynierów. **Nie przez cud, ale przez trud, wytężony trud ludzi pracy, Gdynia wraca do życia.** Budzi się z uśpienia port, ożywia się z godziny na godzinę ruch zmartwychwstałego miasta. I oto dziś według słów nie tylko pięknych w swym poetyckim wyrazie, ale jednocześnie i najbardziej miarodajnych **„Gdynia, ten połamaniec z poprzetrącanymi żebrami bije rekord za rekordem".**



Broń gdyńskich kosynierów w rękach Niemców

Któż to sprawił? Czy mogli to zdziałać ludzie, za których trudem nie stało bezustanne, głęboko wbite w świadomość, poczucie zasadniczego sensu tych poczynań? Nic to, że robotnik i urzędnik gdyński zaklnie soczyście od czasu do czasu, że napsioczy na niskie płace i kłopoty powojennego życia. Wiadomo: droga od pokoju do wojny nie jest równa drodze, prowadzącej od wojny do pokoju. Z nieba pokoju w piekło wojny spada się od razu, lecz od piekła do nieba z powrotem droga wiedzie przez czyściec długiej i ciężkiej odbudowy. Ale, kiedy taki mieszkaniec Gdyni patrzy na ruch portu, który własnymi rękami wskrzesił, kiedy zatopi wzrok w bezkresie polskiego morza, wówczas wraca mu pamięć owej chwili sprzed roku, uskrzydlonej radością i nachodzi go treść w niej zaklęta: najsłodszy smak wyzwolenia.

A to jest tylko Gdynia, miasto, w którego odzyskaniu nie zamykają się te niezmierzone aspekty historyczne, co w odzyskaniu Gdańska czy Szczecina. Cóż, Gdynia była polską przed wojną i jest polską obecnie. Piekło hitlerowskie było, przeminęło i zostało wymazane z pamięci. Odzyskanie tego miasta jest normalną konsekwencją zamknięcia rachunków sześcioletniej wojny.

W Gdańsku jest inaczej. Z wszystkich kamieni tego miasta wyziera głęboki sens historycznych wydarzeń, jakie rozegrały się tu przed rokiem. Na każdego, kto dziś przechodzi, lub przejeżdża bez zatrzymania się przez mały kamienny mostek na drodze, wiodącej z Orłowa do Sopotu (przed wojną była tu granica między Wolnym m. Gdańskiem, a Polską), musi spaść radosna i olśniewająca świadomość faktu, że Gdańsk jest nareszcie miastem polskim. Usunięcie z tego małego mostka posterunku granicznego oznacza rozwiązanie **bez reszty jednego z najbardziej skomplikowanych problemów historycznych północnej Europy.** Nie ma już Gdańska, z którego pycha jego germańskich mieszkańców i wiekowe błędy naszych przodków uczyniły złośliwy nowotwór, wy-



Westerplatte płonie

wysysający z naszego organizmu państwowego najżywotniejsze soki i hamujący jego naturalny rozwój gospodarczy. Natomiast jest Gdańsk, który powrócił do roli, wyznaczonej mu przez położenie geograficzne i historię — **do roli kluczowego portu i morskiego okna na świat Rzeczypospolitej Polskiej.**

Niestety, rozkoszny smak odzyskania tego miasta psuje w znacznym stopniu jego tragiczne zniszczenie. To zniszczenie jest dla nas stratą nie do wyrównania. Widok gdańskich ruin rozkrwawić musi każde polskie serce. Ale rady na to nie ma. Możemy się jedynie tym pocieszyć, że nie stało się nieszczęście — gorsze. Bo przecież tragiczny los Gdańska mógł spotkać także i inne ośrodki centralne Wybrzeża. A wówczas odbudowa życia na Wybrzeżu byłaby w ogóle niemożliwa, bądź też musiałaby ulec rozłożeniu na długie dziesiątki lat.

Trzecim wielkim ośrodkiem Wybrzeża, który w związku z pierwszą rocznicą wyzwolenia zasługuje na specjalną uwagę, jest Szczecin. Niedawno nazwał ktoś Szczecin „miastem szaleńców bożych". Nazwa trafna, choć jeszcze trafniejsza byłaby nazwa „miasto zakochanych". Zakochanych w kim? Oczywiście, że we własnym mieście. Jeżeli mieszkańcom Gdyni można było by zarzucić, że w troskach dnia codziennego zagubili radość wyzwolenia, to w stosunku do mieszkańców Szczecina podobny zarzut byłby całkowicie bezpodstawny. Bo mieszkańcy Szczecina od dwunastu miesięcy żyją w stanie niezmiennej euforii. Fakt repolonizacji miasta, które przez szereg wieków było germańską bazą wypadową na Bałtyku, jest dla nich ciągle jeszcze zjawiskiem tak nieprawdopodobnie radosnym, że wprost trudnym do pojęcia. A przecież dwunastomiesięczna polskość Szczecina zdołała już wykuć w sercach jego ludności niezłomną pewność, że choćby wbrew wszystkim i wszystkiemu, miasto to pozostanie polskim już na zawsze. **Nigdzie może w okresie powojennym patriotyzm nie wybuchnął z taką siłą, jak właśnie tu, w najbardziej wysuniętym na Zachód, kącie Rzeczypospolitej.** Sprawa odbudowy i rozwoju miasta jest dla każdego z mieszkańców Szczecina najpilniejszą sprawą osobistą. I Szczecin, pobudzany do ruchu entuzjazmem swej ludności, rekrutującej się ze wszystkich ziem polskich, odbudowuje się coraz szybciej, strząsa z siebie wiekowy nalot niemieckości i coraz mocniej wiąże się z morzem i z lądowym zapleczem.

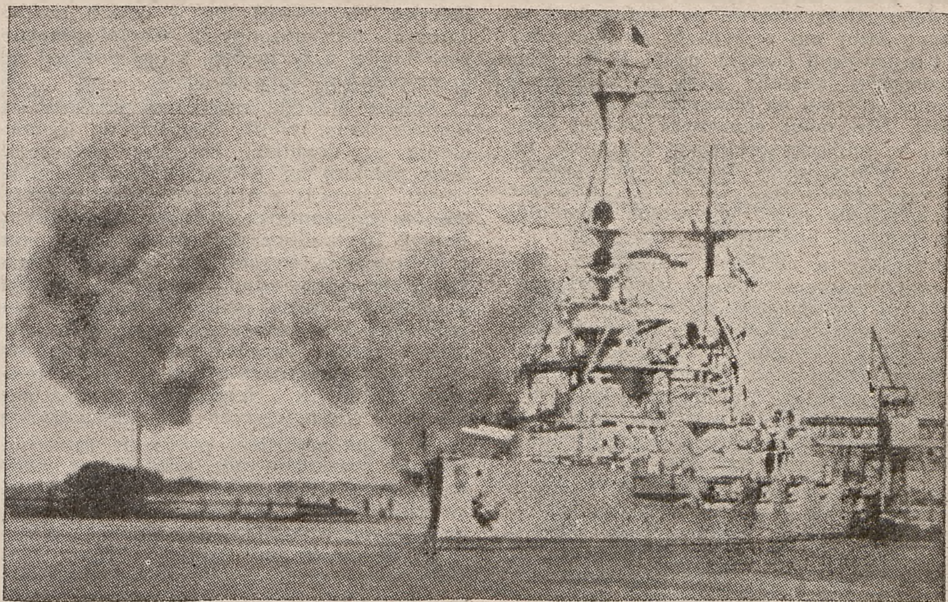
Naturalnie, że tych kilka uwag o Gdyni, Gdańsku i Szczecinie nie obrazuje w pełni atmosfery psychicznej, jaka dzisiaj, w pierwszą rocznicę wyzwolenia, panuje na polskim Wybrzeżu. Bo są ponadto na Wybrzeżu ludzie, którzy smaku wyzwolenia nie znają wcale, dla tej prostej przyczyny, że do tej chwili nie przyjęli w ogóle do wiadomości samego faktu powstania Odrodzonej Polski. Poza ludźmi pracy, rozgościła się tu (jak zresztą i w innych częściach kraju) banda nierobów, krętaczy i spekulantów. Ci wyfutrzeni i ubrylantowani arystokraci i plutokraci Wybrzeża, z których każdy przez godzinę zarabia więcej, niż wynosi roczny zarobek portowego robotnika, przeważną część swego czasu spędzają w knajpach, gdzie popijają wódę, dowcipkują na temat demokracji, ubolewają głośno nad niedolą polskiego chłopa i robotnika, czerczilą o trzeciej wojnie i swą prowokacyjną obecnością w nowej Polsce zdają się oszukiwać historię. Dla tych gentlemanów demokratyczna Polska jest naprawdę drugą okupacją. Zachowują się też wobec niej jak najprawdziwsi okupacyjni spekulanci i czekają z upragnieniem na „rzeczywiste" wyzwolenie, które ma przynieść z emigracji wymarzony Anders.

Ale czyż o tych ludziach w ogóle warto mówić? Stanowią oni ciemny margines życia Wybrzeża, który, po załatwieniu spraw ważniejszych, musi ulec zupełnej likwidacji. Natomiast jest faktem, nie ulegającym wątpliwości, że pełnoprawni obywatele Wybrzeża, to znaczy ludzie pracy, pojmują całkowicie historyczny sens wydarzeń, jakie rozegrały się przed dwunastoma miesiącami. Wiedzą, że przed rokiem, na polach bitew zostały wykute zręby Polskiego Państwa Morskiego. Rozumieją, jaka z tego tytułu ciąży na nich odpowiedzialność. W sercach tych obywateli uroczysty obchód pierwszej rocznicy wyzwolenia znajduje całkowity i głęboki oddźwięk.

Jest to rocznica pierwsza. **My wszyscy na Wybrzeżu,** jak szerokie i długie, **(a jest ono długie na pięćset kilometrów — o tym należy przypominać stale)** wykonujemy ciągle jeszcze najczarniejszą pierwiastkową robotę u podstaw gmachu, którego strzeliste wieżyce końcowej realizacji toną w mgle przyszłości.

Lecz przyjdzie moment, kiedy przyszłość stanie się teraźniejszością. Szeroko rozbudowany system białych nowoczesnych portów obejmie całe Wybrzeże. Od strony morza osłoni je tarczą ochronną flota strażnicza. Na naszym zapleczu stanie nowa zdrowa Polska. Nie kraj karłowatych rolników i chałupników, ale ojczyzna uprzemysłowionych gospodarzy, wykwalifikowanych robotników, górników i żeglarzy. Spławnymi korytami Odry i Wisły spłyną ku morzu bogactwa naszych fabryk i kopalń. Setki statków pod polską banderą powiozą je z portów polskich w świat szeroki.

Dopiero wówczas będziemy w stanie docenić należycie ważność dziejowych przeobrażeń, jakie zaszły w kwietniu 1945 roku. Dopiero wówczas zbierzemy przebogaty plon naszego pierwszego powojennego trudu. I dopiero wówczas poczujemy na wargach i w sercu słony jak morze, upajający jak wiatr i mocny jak potęga — **rzeczywisty smak Wielkiego Wyzwolenia.**



Pancernik „Schleswig Holstein" ostrzeliwuje Gdynię

BRONISŁAW KRÓL

Z wiosną 1945-ego roku

I oto mnie odnalazł
twój powitalny plusk
i słony posmak walki
zmył z zadyszanych ust.

I oto od dziś — znowu
tworzymy wspólny front:
ty — moje Polskie Morze
i ja twój Polski Ląd!

Pójdziemy razem, w pędzie
niepokonanych szarż:
ja — twój zwycięski przypływ,
ty — mój zwycięski marsz!

Rozpięty żagiel nieba
bojowy gra nam rejs:
za śmierć tych, których nie ma,
na cześć Tej — która jest!

WŁADYSŁAW KOWALENKO

Polityka morska Zygmunta Augusta

Gospodarka każdego narodu układa się w formy, odpowiadające jego potrzebom. Te ostatnie kształtują się pod wpływem różnorodnych warunków: położenia geograficznego, aktywności ekonomicznej mieszkańców, antagonizmów natury gospodarczej (między różnymi ich warstwami, współdziałającymi z sobą), lub z władzą rządzącą (o kierunki rozwoju gospodarczego). Na takim tle powstają różnorodne dążności programowe w zakresie gospodarki poszczególnych narodów.

Im mniejsze jest zróżnicowanie społeczno-ekonomiczne warstw ludności, tym słabiej i rzadziej dynamizuje się życie gospodarcze, tym mniej jest impulsów wewnętrznych do usprawnienia poszczególnych jego dziedzin. Przewaga jednej warstwy nad innymi, trwająca przez dłuższy czas, powoduje ich bierność. Życie gospodarcze staje się jednokierunkowe.

W Polsce od XVI-ego stulecia aż do upadku państwa pozostawała przy władzy szlachta, która bez wielkiego wysiłku doszła do przodującego znaczenia i przez trzy wieki rządziła bez sprzeciwu i przeciwwagi mieszczan i chłopów. Na ogół zgodna w swych potrzebach gospodarczych, wywierała decydujący wpływ na kierunek gospodarki i polityki państwa, formowała ustawodawstwo w tej dziedzinie pod kątem widzenia swoich potrzeb wiejskich, odsuwając w cień sprawy miast.

W XVI-ym wieku rzemiosło i handel miejski znajdują się w zupełnej zależności od interesów szlacheckiej wsi. Odpowiednio do przodującego stanowiska szlachty w państwie stwarza się specyficzny sposób patrzenia na handel i rzemieślników. Warstwy te uważa się za pośledniejsze. Prace na roli wywyższa się ponad wszystko. **„Trzykroć szczęśliwy, kto z rolą przystawa"** — pisze Stanisław Słupski w XVI-ym wieku.

Szlachta w okresie przełomu XV-ego na XVI-ty wiek przechodzi wielką ewolucję. Gorliwie zajmuje się gospodarką wiejską, bogaci się, zaczyna lepiej gospodarować, niż wojować. Opływa w dostatki, wychwala korzyści i zyski wiejskiego życia: **„nie myśląc o boju, ani o prawie, nie zabiega chleba, mając go w domu, tak wiele, jak potrzeba".**

Bogactwo rolnicze Polski zamyka powoli horyzont gospodarczy i polityczny szlachty. Jest ona przekonana, że Polska stoi wyżej od państw Zachodu. Za swe płody rolne otrzymuje produkty przemysłowe innych narodów. Jako ich żywicielka, a mająca przy tym kopaliny, może Polska obejść się bez Zachodu, żyjąc w dostatkach z roli „za małym staraniem i za małą pracą". Taka ideologia polityczno-ekonomiczna ignorowała znaczenie i potrzebę rozwijania własnego przemysłu i handlu, tudzież prowadziła w praktyce życiowej do ograniczeń kupców i rzemieślników oraz powolnego upadku miast.

Korzystny rozwój rolnictwa w Polsce, słabo zaludnionej, nie dawał pomyślnych warunków dla rozwoju przemysłu na wielką skalę. **Polska XVI-ego stulecia nie weszła jeszcze na drogę kapitalistycznego rozwoju, który już wtedy zaznaczył się wyraźnie w Europie zachodniej.** Z jednej strony, w związku z tymi zmianami na Zachodzie, dla polskiego rolnictwa otwierała się w Europie pomyślna koniunktura, ale z drugiej — nie wykluczało to możliwości rozwoju przemysłu i handlu miejskiego obok podniesienia produkcji rolniczo-leśnej.

Wzmożona produkcja wiejska znakomicie przyczynić się mogła do zwiększenia roli handlowej większych miast przez ich udział w obrocie towarowym wsi z zagranicą. Byłby to normalny proces rozwoju gospodarki polskiej, gdyby go nie spaczyła jednostronna przewaga wsi, nie rozumiejącej ani potrzeb ani roli miast.

Doprowadziła ona do zwichnięcia panującej dotąd w XV-ym wieku równowagi społecznej, co pociągnęło za sobą wytknięcie takiego kierunku politycznego w państwie, który obezwładnił mieszczaństwo, zacieśnił jego właściwe pole pracy do lokalnego pośrednictwa, odsuwając od bezpośrednich obrotów z zagranicą i wyznaczając mieszczaństwu niższe stanowiska społeczne.

Swe socjalne położenie mieszczanin mógł zmienić tylko przez wejście w stosunki rodzinne ze szlachtą. Stawało się to dość łatwe, ale tylko w wypadku indywidualnego wzbogacenia się. **Szlachta nie gardziła związkami małżeńskimi z bogatymi mieszczankami, przez co zbliżały się do siebie rody szlacheckie i mieszczańskie.** Takimi są dobrze znane rody Bonerów, Hallerów, Montelupich, Szembergów, Morsztynów i inne. Weszły one w sferę ziemiańską, porzucając swe miejskie środowisko. Wzbogacony mieszczanin przestawał być kupcem, wyrzekał się swego zawodu.

W tym samym czasie w Anglii i Włoszech odbywał się proces odwrotny. Jest on dobrze znany. Miasta tych krajów, zwłaszcza morskie republiki włoskie: **Wenecja i Genua** — wchłaniały okoliczną szlachtę. Tam mieszczaństwo stało się silniejsze i opanowało życie gospodarcze. Polityka przeszła w jego ręce. **W krajach tych postawa mieszczan okrzepła przede wszystkim w związku z rozwojem przemysłu i handlu morskiego.** Udział w nim bogacił mieszczan, dawał im mocną podstawę finansową, umożliwiał skuteczną obronę swoich interesów **i doprowadził do przewagi nad szlachtą.**

Ten pobieżny rzut oka na różnicę procesów społeczno - gospodarczych w Polsce i w innych krajach Europy zachodniej wyjaśnia, **dlaczego** po odzyskaniu ujścia Wi-

sły w XV-ym wieku **Polska nie stała się jednak państwem morskim**, nie skierowała swego mieszczaństwa na wybrzeże i w polityce swej nie wyzyskała gospodarczej siły i organizacji naszych miast. Polski stan mieszczański, spętany różnymi ustawami, nie miał wpływu na kierunek polityki handlowej. Nie mógł skierować swojej ekspansji w najkorzystniejszym kierunku, ku ujściu Wisły, gdzie trzeba było zmajoryzować stanowisko Gdańska. Wówczas Polska stanęła przed poważnym zagadnieniem polityki handlowej.

Przesunięcie na Wybrzeże granic Polski w normalnym rozwoju gospodarki doprowadzić by musiało do szybkiego wyjścia handlu polskiego na morze pod własną banderą. Złamanie i uzależnienie Zakonu krzyżackiego, jako lennika, stwarzało w Polsce nowe z gruntu warunki gospodarczego rozwoju dla wsi i miast. Punkt ciężkości handlu z zagranicą powinien był przesunąć się na morze.

Polska poniosła znaczne ofiary, by zwycięsko zakończyć wojnę z Zakonem, ale nie zdobyła się na wykorzystanie jej wyników pod względem gospodarczym. Tu powód wielkiego zaniedbania naszej polityki handlowej i państwowej. **Brakowało jej podstawowego pierwiastka — polityki morskiej.** Stało się to z następujących przyczyn:

1) obojętności warstwy rządzącej dla spraw gospodarczych, wychodzących poza obręb interesów wsi; 2) niechęci tej warstwy do nowego wysiłku, celem złamania uzurpatorskiego stanowiska Gdańska w handlu morskim. Wymagało to bowiem prowadzenia wojny z Gdańskiem. Na to jednak szlachta nie miała chęci. Wystarczyło jej pośrednictwo handlowe tego miasta.

W świadomości szlachty leżała jednakże głęboka uraza do Gdańska za wykluczenie swobodnego handlu z kupcami zagranicznymi na jego obszarze. Nieraz skarżyła się ta szlachta na sejmach na krzywdy, jakie Gdańsk jej wyrządza, nie pozwalając na wolną sprzedaż zboża kupcom zagranicznym. Te skargi powtarzały się od 1537 do 1585 r. przez prawie 50 lat, jednak — bez żadnego skutku. **Nie potrafiła szlachta przez uchwały sejmowe nic de facto zmienić przy ujściu Wisły na korzyść handlu polskiego.** Handel ten właściwie kończył się przy bramach Gdańska, który chińskim murem oddzielał Polskę od morza. Nie mogła temu zaradzić władza królewska. Nie mogła ona przezskoczić Gdańskowi w uzyskaniu przewagi nad polskim handlem przy ujściu Wisły.

Od razu po pokonaniu Zakonu krzyżackiego Gdańsk zajął stanowisko, zmierzające do eksploatacji rozległego państwa polskiego. Już w 1482 r. nie pozwolił na swoim terenie na sprzedaż nawet królewskiego zboża zagranicznym kupcom. Kazimierz Jagiellończyk, zaskoczony taką postawą miasta portowego hojnie obdarzonego przez niego przywilejami, upomina go łagodnie, stosując perswazje zamiast stanowczego nacisku. Król pisze wtedy do gdańszczan: „...nie chcecie dopuścić do tego, aby nasze zboże sprzedawano w mieście Gdańsku, twierdząc, że dzieje się to na podstawie ogólnego edyktu całej ziemi, co dla nas jest dokuczliwym z waszej strony. Albowiem to prawo nie tylko nam przysługiwało z tytułu naszej władzy... my bowiem nie podlegamy edyktom, wydanym dla naszych poddanych, uważamy, że jest rzeczą odpowiednią, by nasze zboża ...mogły być sprzedawane, tak jak chcieliśmy, gościom tam przybyłym".

Ten wypadek nie zmienił postawy Gdańska. Tym łatwiej ignorował on protesty szlachty. Jego stanowisko bardzo słusznie charakteryzuje niemiecki badacz Naude. Stwierdza on wyraźnie, że:

> **...„przez rafinowane sztuczki umieli gdańszczanie tak się urządzić, że Polak pozostawał w nieświadomości wszystkich stosunków handlowych, że sprzedawał tanio swoje zboże gdańszczanom. Natomiast wzamian za to, za towary, jak sól. wino, jedwab, korzenie, śledzie, które mu wyłącznie sprzedawał gdańszczanin, musiał płacić drogo... Konsekwencja całej sprawy była taka: — coraz bardziej widocznym stawało się ekonomiczne zubożenie Polski, świetny rozwój Gdańska, w końcu bogaty zysk Holendrów na frachtach i spekulacji". (Cyt. Rybarski. „Handel polski" I. str. 333/34).**

Innymi słowy — bogaciły się obce narody. Gdańsk korzysta ze swego uzurpatorskiego prawa do wyłącznego pośrednictwa, Holendrzy zaś zarabiają olbrzymie sumy na wywozie i sprzedaży polskich produktów rolniczo-leśnych. Dla Holendrów handel polskim zbożem na Bałtyku był „matką wszystkich handlów", czyli zapewniał im najlepsze dochody.

Przytoczone cytaty świadczą, że polska polityka morska wówczas nie istniała, że potrzeb Polski na morzu nie rozumiały ani sejmy, ani ogół obywateli, zamkniętych w kręgu ciasnych interesów wsi.

II

Postawa Gdańska również i w zakresie politycznych stosunków nie była inna w czasie, gdy Polska musiała po raz pierwszy rozpocząć blokadę wybrzeży bałtyckich w wojnie o Inflanty.

Zygmunt August, pierwszy z polskich królów zrozumiał wówczas na tle potrzeby wojennej znaczenie handlu morskiego. Wystąpił on z szeroką akcją zbrojną na Bałtyku, co prawda nie w celach gospodarczych lecz obronnych. **Chciał zahamować handel z Zachodem**, który dowoził zaopatrzenie do Narwy.

Polska blokada na morzu stawała się koniecznością, by nie dopuścić do wzmocnienia przeciwnika. Potrzebę stworzenia floty polskiej na Bałtyku rozumiał lennik polski, Albrecht pruski. Otwarcie zwierzał się on Zygmuntowi Augustowi, że gdyby Polacy użyli floty podczas wojny z nim o hołd pruski, to zmusiliby Zakon w jeszcze krótszym czasie do kapitulacji. Ratował go wówczas jednak otwarty dostęp do morza, skąd miał zaopatrzenie i pomoc. Albrecht pruski doradzał więc Zygmuntowi Augustowi stworzenie floty, bez której walka o Bałtyk i jego wybrzeża nie mogła mieć najmniejszych szans powodzenia.

Również najbliższe otoczenie króla doradzało **zorganizowanie ochotniczej marynarki tzw. kaperskiej.** Pierwszym aktem tworzenia jej było powierzenie dowództwa nad trzema okrętami, z tytułem „admirała", **Tomaszowi Serpingowi** w 1557 r. Równocześnie król zwraca się do wszystkich władców Europy z zawiadomieniem, że zakazuje żeglugi do Narwy i oznajmia o swojej straży na morzu. Akcja szybko się rozszerza. Król powołuje na służbę morską nowych kapitanów, zwiększa zaciągi floty, poleca bezwzględnie zatrzymywać wszystkie statki obce i poddawać je kontroli.

W służbie królewskiej są wtedy: **Stanisław Wąsowicz**, rycerz doświadczony „na ziemi, jak i na morzu", żeglarz **Birbant, Starosta** i inni. Bazą dla nich stał się Królewiec.

Niebawem akcję na morzu trzeba było rozszerzyć przeciwko Szwecji. Szlak walki wydłużał się. Liczba okrętów kaperskich wzrosła. W tym czasie **król znalazł pewne poparcie u książąt zachodnio-pomorskich.** Udzielali mu oni pożyczek, zezwolili nawet na zaciąg kaprów.

Flota polska zaczęła niebawem paraliżować żeglugę narewską. Znalazło to odgłos na Zachodzie. Francja, Anglia, Stany Holenderskie, cesarz — uważnie, ale z niezadowoleniem, śledzili wypadki na morzu. Blokada przynosiła im straty. Skuteczna działalność kaprów wywołała interwencję zainteresowanych państw w celu pacyfikacji Bałtyku.

Zygmunt August rozwinął wielką akcję dyplomatyczną w obronie kaprów. Wskazywał na polskie zadania na morzu, nieraz powtarzając, że akt blokady wynika z konieczności wojennej.

Z początku wojny owej Polska współdziałała z Danią. Kaprowie królewscy mieli u niej silne poparcie. Ze zmianą aliansu na Północy, kiedy na tronie szwedzkim zasiadł szwagier króla polskiego Jan III-ci, flota kaperska wspólnie ze szwedzką zwalczała kontrabandę na Bałtyku.

Szwecja angażowała do tych wypraw znaczne siły, osłaniając młodą marynarkę polską od zemsty i napadów floty duńskiej. Dania ponosiła niewątpliwie znaczne straty. Wojna na morzu bowiem zmniejszyła dochody króla duńskiego z ceł zundckich. Ani cesarstwo, ani Francja, ani Stany Holenderskie nie traciły z oczu wydarzeń na Bałtyku. Szło im o handel, Polsce zaś zależało na utrzymaniu swego stanu posiadania na wybrzeżu.

W całokształcie polityki króla Zygmunta Augusta tworzenie zawiązków floty wojennej nie jest elementem przygodnym i oderwanym od innych poczynań. Założenie floty wiąże się z innymi zagadnieniami. Do nich należą: 1) **inkorporacja Prus Królewskich**, przeprowadzona w 1569 r. dla ściślejszego zespolenia wybrzeża z Rzecząpospolitą; 2) **stworzenie osobnego organu władzy na morzu — Komisji Morskiej;** 3) **planowe dążenia króla do ograniczenia praw Gdańska.**

Osobny organ władzy na morzu, tak zwana Komisja Morska, powstaje w kilka lat później od pierwszego wystąpienia kaprów. Już dotąd działali oni z dużym powodzeniem i doświadczeniem, chociaż bez jednolitej zwierzchniej władzy nad sobą. Rola kaprów na morzu wzrasta po niepowodzeniach króla w przygotowaniu wielkiej wyprawy lądowej na wschód. Ta zbieżność chronologiczna wg. wywodów dra Bodniaka nie jest przypadkowa.

Komisja Morska miała ujednostajnić i wzmóc akcję kaprów, którym król polecał szczególnie energicznie niedopuszczenie do wzmocnienia się sił przeciwnika i osłabienia dowozu broni i amunicji z Zachodu. W ten sposób nieudana akcja na lądzie miała być powetowana częściowo na morzu.

Do Komisji Morskiej weszli najwybitniejsi doradcy króla. Prezesem Komisji jest mądry **Jan Kostka, kasztelan gdański, późniejszy kandydat do korony polskiej.** Jej członkami to: **Kasper Geschkau**, opat oliwski, **Krzysztof Konarski**, dworzanin królewski, **Jerzy Kleifeld**, burgrabia gdański, **Andrzej Swarożyński**, dworzanin królewski **Stefan i Jan Loytzaowie**, zamożni kupcy gdańscy oraz **Walenty Uberfeld**. Ten skład Komisji pozostał do końca jej działalności bez zmian.

Osobnym aktem z dnia 24. III. 1568 r. król wyraźnie zaznacza, że celem Komisji jest ochrona wybrzeża polskiego, portów i zatok oraz zachowanie bez uszczerbku władzy polskiej na Bałtyku.

Komisja Morska, której siedzibą jest pałac królewski w Gdańsku ma prawo burmistrzom i senatorom stawiać żądania w imieniu króla. Na potrzeby jej król przeznacza dochody z ekonomii malborskiej, z eksploatacji lasów, ze sprzedaży wyrobów drzewnych.

Jest tu charakterystyczny moment. Król przelewa na nią upoważnienie do prowadzenia handlu pewnymi towarami leśnymi i innymi. Miało to stworzyć finansową podstawę Komisji. Dochody jej stanowią pierwszy polski **„Fundusz Morski"**, przeznaczony na utrzymanie kaprów i ich działalności na morzu.

Wzmożona akcja Komisji i kaprów budziła obawy gdańszczan. Członków Komisji Morskiej uważali oni za swoich prześladowców, pracujących na zgubę miasta. Przeciwko kaprom Gdańsk pałał nienawiścią. Widział w nich zbrojne ramię króla, które mogło w przyszłości sięgnąć po prawa miasta.

Z powodu takiego stanowiska Gdańska stosunki jego z Polską zaogniły się. Niebawem powstaje ostry zatarg w związku z bezprawnym ścięciem jedenastu kaprów. Nie podlegali oni wcale jurysdykcji miasta. Drobne ich przewinienie polegało na zabraniu chłopom kilku kur. Przybyli oni do Gdańska po ciężkiej morskiej burzy — byli głodni.

Król uznał ścięcie kaprów za obrazę swego majestatu i uwięził, wezwanych na sąd sejmowy do Lublina, gdańskich burmistrzów. Działał z cichą, ale cierpliwą energią. Doskonale rozumiał potrzebę zabezpieczenia praw państwa polskiego przed roszczeniami i samowolą Gdańska. Sprawa odbiła się głośnym echem na sejmie w Lublinie, przygotowującym unię z Litwą.

Komisja Morska na tle tej sprawy zyskała na sejmie silniejszą postawę moralną i finansową. Przyznano jej nowe, szersze źródła dochodu, co wzmacniało jej stanowisko **jako pierwszego Urzędu Morskiego, który można nazwać Departamentem Morskim, powołanym do pilnowania polskich interesów na Bałtyku.** Przy tym sejm skazał czterech gdańskich dostojników na więzienie.

Równocześnie z tym „Comissio Maritima", mająca coraz większy autorytet, opiekuje się skutecznie kaprami, chroni ich przed aktami przemocy Gdańska, zapewnia swobodę zawijania do jego portu w czasie burzy, a w razie potrzeby również i ze zdobytymi statkami. Kaprowie mogli też swobodnie w Gdańsku sprzedawać swe łupy. Postawa ich w mieście została wzmocniona, mimo nieustających zabiegów władz miasta o ich likwidację. Ten wrogi stosunek Gdańska do sług królewskich na morzu, jego niechęć do Komisji Morskiej, wypadek obrazy majestatu królewskiego, wymagały uregulowania.

W otoczeniu króla, wśród jego doradców panowała świadomość, że Polska stanęła przed bardzo poważną sprawą, którą należy rozwiązać w myśl polskich interesów na morzu.

Osobna komisja zajęła się uregulowaniem stosunku Rzplitej i Gdańska do morza. Na czele jej stanął biskup Karnkowski, obok zaś niego **Jan Sierakowski**, wojewoda łęczycki, doskonały znawca spraw bałtyckich oraz **Jan Kostka**, prezes Komisji Morskiej. Wynikiem ich pracy była **„Konstytucja Morska", zwana inaczej „statutami Karnkowskiego" od imienia autora** (Constitutiones Karnkovianae).

Konstytucja przyjęta przez sejm dnia 15. III. 1570 r. w Warszawie przyznaje królowi: zwierzchnią władzę na morzu, prawo uregulowania żeglugi i połowu palowego. Wszystkie władze cywilne i wojskowe Gdańska składać winny były przysięgę na wierność królowi i Rzplitej. Niektóre artykuły konstytucji ustanawiały kontrolę królewską nad gospodarką Gdańska, który stawał się integralną częścią Rzplitej, czym dotąd nie był, gdyż zachowywał dość niezależne stanowisko wobec Polski.

Król potwierdził konstytucję. Uroczyście doręczono ją delegatom Gdańska, którzy przeprosili króla, padając przed nim na kolana.

Już w następnym roku Zygmunt August przystąpił do wykonywania postanowień konstytucji: — sprawdził gospodarkę Gdańska przez osobną komisję oraz włączył część posiadłości miasta (Szarpawę i Grzebień) do dóbr stołowych króla.

Równocześnie król rozszerzał zakres swojej działalności. Komisja Morska przystąpiła do stworzenia stałej floty wojennej. Rozumiejąc braki systemu kaperskiego, trzeba go było zastąpić stałą siłą zbrojną na morzu.

W tymże samym 1570 roku rozpoczęły się z wiosną **prace nad budową galeonu pn. „Smok" oraz kilku galer, jako zawiązku nowej marynarki wojennej.** W tej pracy jest czynny prezes Komisji Morskiej, Jan Kostka. Dogląda on w stoczni elbląskiej budowy galeonu i galer, postępującej szybko naprzód dzięki pracy Włochów, sprowadzonych z Wenecji. Król stale wykazuje zainteresowanie — chce mieć „prędki, a skuteczny efekt". Kosztowne wydatki na budowę floty pokrywa Komisja Morska. Praca jednak przewleka się. Po dwu latach zbudowano zaledwie galeon i fregatę.

Na ten okres największego natężenia akcji króla na morzu przypada **kongres międzynarodowy w Szczecinie, zwołany z inicjatywy polskiej dla uregulowania zawikłanych stosunków bałtyckich.** Do Szczecina w 1570 r. zjechali przedstawiciele Danii, Szwecji, Lubeki, Polski, Francji i cesarza. Na kongres szczeciński król wysyła najtęższych swoich dyplomatów: — **Marcina Krommera** oraz **Jana Solikowskiego**, zręcznego negocjatora. Obaj najlepiej z ówczesnych ludzi pojmowali znaczenie morza w sensie nowożytnym.

W dyskusji kongresu polski postulat morski — nie znalazł uznania. Cesarstwo uważało Bałtyk za morze przynależne do Rzeszy. Polskie „dominium maris" podano w wątpliwość, sprawa zaś żeglugi narewskiej została nadal otwarta. Z polskiej inicjatywy pogodziła się zwaśniona Dania i Szwecja, Polska jednak nie uzyskała zamierzonego celu. Jej delegaci musieli przyznać się do poniesionej porażki. **„Zwyciężył interes kupiecki Danii, Francji i Lubeki".**

Dalsze zadania morskiego programu Polski przerywa nagle śmierć króla i — bezkrólewie.

Zabrakło tak ważnej sprawie — opiekuna. Nowozbudowane okręty w nieznanych bliżej okolicznościach — zaginęły. Niedługo po śmierci króla przestała istnieć Komisja Morska. W kilka lat potem upadła i konstytucja Karnkowskiego, zniesiona przez Stefana Batorego po wojnie z Gdańskiem. **Niemało w likwidacji planu morskiego zawinił wtedy wielki hetman a zarazem kanclerz Jan Zamojski, nie rozumiejący spraw morskich.** W jego działalności w okresie całego 10-lecia nie widzimy ani na chwilę gotowości do kontynuowania programu morskiego Zygmunta Augusta. Przeciwnie, Zamojski z lekkim sercem przekreślał ów program, marnując przez to zapoczątkowania morskie lat poprzednich.

Powoli też, pozbawieni opieki państwa polskiego, wyginęli kaprowie.

Dzisiaj patrzymy z odległości prawie czterech wieków na politykę morską Zygmunta Augusta. Jest ona programowo jednolita i zwarta, chociaż składa się z kilku osobnych członów, na pierwszy rzut oka ze sobą organicznie nie związanych.

Przy bliższym jednak wejrzeniu w tę sprawę stwierdza się, **że zawiązki floty kaperskiej, inkorporacja Prus Królewskich, działalność Komisji Morskiej, rozprawa z Gdańskiem, konstytucja Karnkowskiego, problem żeglugi narewskiej na kongresie w Szczecinie i zwołanie go z inicjatywy polskiej oraz budowa stałej marynarki — stanowią razem wielki splot faktów, wynikających z królewskiego programu morskiego.** Król Zygmunt August wyszedł z nim na teren polityki międzynarodowej. Co prawda, nie odniósł w tej sprawie zwycięstwa, **postawił jednak politykę morską Rzplitej na takim poziomie, że stała się ona poważnym problemem w ówczesnej Europie.**

W tym zakresie działania Zygmunt August wykazał trwałe dążenie i stworzył wyraźnie skrystalizowany program. Nie miał on zamiaru opanowania całego Bałtyku. Wyróżniał na nim trzy strefy: polską, szwedzką i duńską. Nie rezygnował ze zdobycia szerszego wpływu na Bałtyk, co wyraźnie występuje w jego listach i instrukcjach. Uznawał zasadę wolnej żeglugi na Bałtyku, ale nie kosztem interesów polskich. „Międzynarodowa wolność na morzu kończyła się tam, gdzie zaczynała szkodzić interesom jego „państwa" (wg. badań doc. dr St. Bodniaka).

Zygmunt August wyprowadził Polskę na morze, stworzył zawiązek floty polskiej, obwarował swe morskie poczynania normami prawnymi, konstytucją morską, tudzież ograniczył prawa Gdańska. **Gdyby Polska poszła wskazaną w ten sposób drogą, to mogłaby stworzyć silną flotę narodową, jak Dania i Anglia.** Spadek po królu — „pionierze morskim" został zmarnowany, ale nie zapomniany.

Wracamy po raz trzeci na morze z doświadczeniem i wielką przestrogą dziejową, że morze bogaci oraz zabezpiecza wolność tych narodów, które rozumieją jego wartość. **Na morze żaden z narodów nie wychodzi bez wysiłków i bez potrzeby.** Jeżeli dawna Rzplita miała nadmiar surowców, to ich eksport dawał doskonałe warunki dla stworzenia floty handlowej i wojennej, tak potrzebnej dla obrony rozległego wybrzeża. Zaniedbanie na tym odcinku fatalnie zemściło się na Rzplitej.

Dziś na straszliwie przez wojnę okaleczonym Wybrzeżu zaczyna krzepnąć Polska. Przez Wybrzeże morskie idzie do nas pomoc z Zachodu. Rodzi się Polska, związana na szerokim odcinku — z morzem. Chwila obecna wymaga od nas wielkiego wysiłku, planowej pracy. **Mamy wyjątkową okazję historyczną stać się wielkim państwem morskim.**

Obyśmy jej nie zmarnowali!

Władysław Kowalenko

CHARLES OGIER

Gdańsk w 1635-tym roku

Przytoczony tu w moim tłumaczeniu łaciński autentyk, zawierający opis Gdańska w okresie panowania króla Władysława IV-go, stanowi fragment trzeciej części pamiętnika Karola Ogier, którego tytuł oryginalny brzmi: „Caroli Ogerii Ephemerides, sive Iter Danicum, Suecicum, Polonicum etc". („Karola Ogier Pamiętnik, albo Podróż duńska, szwedzka, polska itd.").

Trzeba zaznaczyć, że ogierowski pamiętnik jest nie lada rzadkością bibliograficzną. Na język polski tłumaczony dotąd nie był. W Polsce **posiada jego egzemplarz jedynie Biblioteka Miejska w Gdańsku, która przystępuje obecnie do wydania jego trzeciej części.**

Rozgorzałe w ostatnich latach XVI-ego wieku w familii Wazów spory dynastyczne, rozpalają się szybko na pożywce antagonizmów religijnych w wieloletnią wojnę szwedzko-polską. Wojnę, która potem sama z siebie wyłania nowe i konflikty i cele polityczne.

Ale wkrótce zaabsorbuje Szwecję całkowicie wojna 30-toletnia w Niemczech. By mieć do niej wolne ręce, musi Szwecja uzyskać choćby czasowy pokój z Polską.

Dzięki temu dochodzi w 1629 r. — przy mediacji sprzymierzonej ze Szwecją Francji, Anglii, Holandii i Brandenburgii — do zawarcia w Altmarku sześcioletniego rozejmu z Polską. Rozejm ten upływa w 1635 r., w okresie, gdy po śmierci Gustawa pod Lützen koalicja przeciwcesarska potrzebuje jeszcze bardziej nagląco współudziału Szwecji w tej wojnie, i to współudziału z całym możliwym nakładem sił.

Idą zatem w ruch znowu dyplomatyczne zabiegi pod batutą dyrygenta tej politycznej orkiestry, Richelieu'go, który doprowadza ponownie do mediacji tychże samych, co sześć lat temu, państw. Na wiosnę 1635 r. zjeżdżają się w Gdańsku posłowie-mediatorzy, by wkrótce potem rozpocząć w Sztumsdorfie pod Kwidzyniem akcję mediacyjną, która doprowadza ostatecznie do zawarcia nowego, 26-cioletniego rozejmu. Do rozejmu tego dochodzi wbrew woli i sekretnemu przeciwdziałaniu króla Władysława IV-ego. Rozejm ten niszczy jego najpiękniejsze plany morskie wraz z myślą odzyskania — przy pomocy wojny — korony szwedzkiej.

Protagonistą w wspomnianej wyżej akcji mediacyjnej jest poseł francuski Klaudiusz de Mesmes, hrabia d'Avaux. Wśród jego sekretarzy znajduje się **Karol Ogier**, jurysta i literat, człowiek o dużej inteligencji, wrażliwości i kulturze. Ten to właśnie Ogier pisze pamiętnik całej owej dyplomatycznej wyprawy francuskiej, wyprawy, której celem ostatecznym i najważniejszym była wprawdzie mediacja w sporze szwedzko-polskim, ale która miała przedtem do wypełnienia jeszcze inne zadania dyplomatyczne w Danii i Szwecji, gdzie dość długo przebywała.

Stąd pamiętnik Ogiera daje w pierwszej swej części wrażenia z pobytu w Danii, w drugiej z pobytu w Szwecji, w trzeciej zaś — oprócz szczegółowej historii mediacji — niezmiernie interesujące opisy miasta Gdańska w 1635 r. i jego życia kulturalnego. Z tego też powodu pamiętnik Ogiera wyzyskiwany był często i obficie przez historyków kultury, m. in. i niemieckich, jako jedno z najciekawszych źródeł do historii tej epoki. Tę samą wartość ma on w dalszym ciągu i dla nas, wartość w chwili obecnej tym jeszcze większą, że Gdańsk stał się wreszcie integralną częścią Rzplitej — i tym większą, że tętno życia polskiego na Wybrzeżu w tym czasie wyczuć się daje z „Pamiętnika" silniej może, niż z wielu politycznych dokumentów i historii. Przejawia się ono co prawda głównie w dziedzinie religii i kultu, ale właśnie o tym dowiadujemy się dzięki Ogier'owi, gorliwemu, a nawet fanatycznemu katolikowi, opisującemu i wymieniającemu dokładnie polskie i niemieckie nabożeństwa we wszystkich zwiedzanych przez siebie kościołach. Dla kultury rdzennej Polski ma pamiętnik Ogiera duże znaczenie. W okresie kilkumiesięcznej mediacji styka się Ogier nie tylko z przysłanymi na nią komisarzami polskimi, ale i z pokaźnym gronem dostojników i szlachty polskiej, jako też i z samym królem Władysławem IV-ym. Obserwuje ich, charakteryzuje, przytacza zasłyszane o nich anegdoty. Stosunek jego do Polski i polskości jest — sympatyczny.

Z przyjemnością wyraźną opisuje biesiady u polskich magnatów, na których bywał wraz ze swym posłem. Nie opuszcza go prawie rabelaisowski humor nawet wtedy, gdy opisuje straszliwe „polskie noclegi", podczas których — jak twierdzi — tyle się nacierpiał. Interesuje się żywo wyglądem, uzbrojeniem i rodzajami wojska polskiego, co kilkakrotnie wcale drobiazgowo piórem swoim upamiętnia. Zwięźlej, kiedy indziej obszerniej, wspomina również o poznanych miastach: — Malborku, Toruniu, Elblągu.

A wreszcie opis samej mediacji. Tym on jest cenniejszy, że dany od strony kulis, że autor jest sam jednym, choćby skromnym, kółeczkiem w jej — jakże zębatym! — mechanizmie. Ileż tu analogii z polityką dzisiejszych czasów — tą, której rąbków mniej lub więcej uchylić zdołaliśmy nawet my, zwykli śmiertelnicy! Od iluż to sekretnych „chodów", wielkich i małych ambicji i próżności, od jakich to złych i dobrych humorów panów - dyplomatów, od jakiej masy biurokratycznej formalistyki, od ilu wreszcie ślepych, a nawet głupich przypadków zależy życie i śmierć miliona ludzi! Trzysta lat temu tak samo, jak dziś.

Obecni inicjatorzy wydania pamiętników Ogier'a pojmują je jako zadzierżgnięcie nowej, choćby bardzo skromnej nici między naszą przeszłością, a teraźniejszością — nici na kanwie poszarpanego tak okrutnie przez wojnę naszego rozwoju kulturalnego.

Edwin Jędrkiewicz



Drzeworyt Stanisława Rolicza (Gdynia)

Siedemnastego maja 1635 roku, w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego, Imć pan Klaudiusz de Mesmes, arcychrześcijańskiego króla poseł nadzwyczajny, przybył do Gdańska.

Miasto owo należy do najprzedniejszych w Europie, w całej owej zasię strefie, jest bez ochyby najprzedniejsze. Opłukuje je i przecina rzeka Wisła, niemała tu zaprawdę, która jednak inszym jeszcze korytem wlewa się do morza pod miastem Kobelgrube [1]. Bardzo wiele pszenicy spławia się tą rzeką do Gdańska, stąd zasię wywozi się ją do Niederlandów i gdzie indziej. Wywozi się też drewna i inne towary, skóry surowe i garbowane oraz bursztyn.

Warownym czynią to miasto tak rzeki i morze, jak i fortalicje wedle reguł zbudowane, na dole, oczywista, murem kamiennym obramione, a w górze — by i dla oczu była uciecha — ozdobione zielonymi trawnikami. Wznosi się jednak nad miastem góra [2], z której mu poważnie zagrozić można. Przedsię Gdańszczanie zamieszkują górę ową w najbliższym sąsiedztwie położoną, a gdy wojna wybucha, obwarowują ją.

U stóp tej góry rozciąga się przedmieście grzeczne, gdzie żyje wielu rękodzielników. Przecina je w środku i przedziela rzeczka, przez którą liczne wszędy mosty przerzucono. Wszyscy nieomal owi rękodzielnicy są anabaptystami — i owa bowiem wiara w tym mieście się rozpowszechniła — albo luteranami albo kalwinami. I katolików jest tu także około siedmiu tysięcy, kalwinów jednak o wiele więcej, najwięcej zasię luteranów i ci są najmożniejsi.

Miasto owe, jakkolwiek wolne i jakkolwiek ma Senat i Radę, która nim rządzi, podlega jednak Królowi Polskiemu, który mu rokrocznie naznacza burgrabiego; musi go jednak wybierać z ciała senatorskiego. Ów to burgrabia przewodniczy senatowi. Przecież, skoro król mianuje tylko jego jednego, i to spośród senatorów, nie może on służyć sprawie króla, tak iż, sprawiedliwie rzec można, jako przedstawiciel króla istnieje on tylko dla formy i dla pozoru. Wiem i później zaznaczę, że Gdańszczanie płacą daninę Królowi Polskiemu.

Uważają oni zaprawdę za rzecz wielce uciążliwą, że port ich przed kilku laty Szwedzi zajęli i że corocznie 1.400.000 talarów każą sobie kupcom płacić [3]. Szczególnie niemile to znoszą sąsiedni książęta i królowie. Jakim by sposobem ciężar ten mogli zrzucić, nad tym wielce się głowią i to będzie należało do głównych punktów niniejszej mediacji.

Wielka w Gdańsku obfitość studzien ślicznych, które ku wielkiej są ozdobie ulic miasta, zwłaszcza owa znajdująca się na większym placu [4] przed gmachem, gdzie radzić zwykł Senat; ale i w dworcach prywatnych są studnie dzień i noc bijące wodą najobficiej. Domy zasię tak są szczególnie budowane, że wstępuje się do nich po schodkach, zaczem jest przedproże z ławami i posadzką z wygładzonego zdobnie na kształt marmuru kamienia; stąd przechodniom się przyglądają.

Bramy z kunsztem wyrobione i rzeźbione, na wielu zaś z nich godła i herby wyrzezane i sentencje już to po niemiecku, już to po łacinie. Przed wchodzącym otwiera się sień wielka i wysoka. Ściany wszędzie drzewem wykładane, albo malowidłem pokryte; wokół długie ławy, a nad nimi długie w okrąg rozmieszczone police, na których w ordynku szklane puchary i garncarskie naczynia malowane i wielorako ozdobione.

Zwisają z kasetonowanych stropów wysokich lampy i świeczniki, często na rogach jelenich rozmieszczone lub wolich, o ile bardziej wielkie niż zwyczajnie, wyszukane być mogą. W Szwecji, Danii — jeśli zaś się nie mylę — także i w naszej Pikardii — takich rogów jako ozdób wielce poszukują i wielce je cenią.

Z tej sieni wchodzi się do izby albo świetlicy, albowiem domy te mają sporą głębokość. Izba ta bierze światło od podworca. Na podworcu, z jednej tylko jego strony, ciągnie się budynek węższy, gdzie spiżarnia, kuchnia i inne tego rodzaju komory. W najdalszej i tylnej części domu są stajnie i brama wjazdowa.

Mówiłem-ci już, że do owych domów wynioślejszych, co do mieszczan bogatych należą, po schodkach się wstępuje; są pod onymi sklepy, w których co pomniejsi rękodzielnicy się mieszczą i kramarze. I nie jest to pomieszczenie niewygodne, bowiem dzięki ulic szerokości światła tam mają dopust dostateczny.

Jest-ci w owym mieście dworzec pospólny [5] cale podobny do gospody św. Gerwazego w Paryżu, którego ściany zdobią znamienite — jakbym ja przynajmniej mniemał — malatury, dosyć już starodawne, wraz z wieloma łacińskimi i niemieckimi wierszami. Są tam liczne postacie świętych, jako i innych bohaterów; historie, prawdziwe, pomięszane ze zmyślonymi opowieściami.

Tu możesz ujrzeć Michała Anioła, Krzysztofa, Sebastiana i im podobnych — ówdzie Merkurego, Bakcha, Akteona i Dianę z nimfami, co dłonią wstyd swój osłaniają. Wielce bym skłonny był uwierzyć, iż tym, co przybytek ten sprawił, był Ariost, jeśliby kiedykolwiek był do Polszczy przybył. Warto też zobaczyć, co tam przez dnie, a niekiedy i noce, się dzieje. Oto stała tam i nieznużona pijatyka bez nijakiego jedzenia. Stowarzyszenie takie bowiem od czasów dawnych utworzone, do którego ci, co chcą się tam przyłączyć i wpisać, królewskiego talara jako wstępne i dopustkę wpłacają. Oną daninę wpłaciwszy, prawo mają do dworca tego, jeśli im wola i codziennie wchodzić i przez dzień cały i noc, jeśli im tam chęć zostać, spijać piwo, którym do siebie nawzajem przypijają.

Sprzedają tam i służby swe ofiarowują onego dionyzyjskiego przybytku stróże i jakoby zakrystianie w lnianych fartuchach; powagi też pełni i przystojności brodacze owi, co srebrne kubki napełniają, Danaidom w tym podobni, że kubki te raz wraz są znowu próżne. Aby zasię kompanionowanie ono zbytnio kompanów ciężkimi nie uczyniło, a także, by źródła pospólnej pijatyki nie wyschły w końcu, składa każdy z nich wchodząc lub wychodząc po trzy szelągi do wspólnej kiesy. Są w tym domu i księgi na sprzedaż wystawione, których widok zatrzymuje przechodniów, co daje sposobność do przyglądania się kompanom. Tamtych, o zasromanie cale to nie przyprawia, ile że, jak mniemają, prawo im czynić rzecz całkowicie dozwoloną i powagą zwierzchności uświęconą.

Przed tym domem plac jest bardzo duży, gdzie się schodzą licznie ludzie poczesniejsi, zarówno mieszczanie jak urodzeni, i gdzie załatwiają swe sprawy handlowe i kupieckie tak, jak się to dzieje na giełdzie paryskiej, lub lyońskiej.

Tego samego dnia, w którym przybyliśmy — że to przez sześć miesięcy ciągle wśród skał, śniegów i morskich fluktów ledwieśmy ziemi stopą dotknęli — wyszliśmy ja i Molai z miasta, by się z odurzenia morskim kołysaniem spowodowanego otrząsnąć i przechadzaliśmy się wśród ogrodów, którymi miasto to tak jak Paryż, jest otoczone.

Dnia 18 maja. Kiedy przebywający w Malborku Zygmunt, stryjeczny Elektora Brandenburskiego, dowiedział się o przybyciu naszego najdostojniejszego posła, przysłał do niego jednego z radców Elektora z listem, w którym mu składał życzenia z powodu jego przybycia.

Dnia 19 maja. Najdostojniejszy poseł wysłał dwóch ludzi ze swego orszaku, jednego do Komisarzy Króla Polskiego z listem po łacinie, drugiego do Komisarzy Królowej Szwedzkiej z listem po francusku, tamci zasię w tenże sam sposób mu odpisali. Polacy stali w mieście Kwidzyniu, Szwedzi we wsi Jonasdorfie. Miejscowość, w której pospólnie zebrać się mieli, nazywa się Sztumsdorf. Malbork przeznaczony był na mieszkanie dla posłów i tam już poseł angielski przebywał.

Dnia 20 maja. Że była to niedziela, wysłuchał najdostojniejszy poseł Mszy św. w kościele zakonnic św. Brygidy. To zgromadzenie klasztorne przez samą św. Brygidę zostało ufundowane, bogata ona bowiem była i w mniszkę przedzierzgnęła się z księżniczki Neryckiej. Córka jej, Katarzyna, zbudowała w sąsiedztwie inny kościół, szczególną sławą świętości się cieszący; dziś zajmują go luteranie.

Po wysłuchaniu Mszy św. odwiedził najdostojniejszy poseł mniszki, czym im sprawił radość niewypowiedzianą. Tłumaczami przy tym było dwóch zakonników z zakonu Cystersów, którzy są ich dyrektorami. Żaliły się, że Szwedzi zajmują dwie ich wsie, przez co im główny ich dochód odjęty. Była wśród nich jedna z tych jeszcze, które przed laty trzydziestu, lub więcej, król Karol wypędził z klasztoru Wasteneńskiego, który jest w Szwecji w pobliżu Nyköping.

Noszą one na głowie zawojkę z pięcioma czerwonymi plamami, na znak ran Męki Pańskiej, które to znaki znaleziono na ciele św. Brygidy. Każda z nich nosi też pierścień, który jest nadawany wyznawcom tej reguły i którym zaślubione są Chrystusowi. Miały i ten, który nosiła sama św. Brygida i który, chcąc go mieć dla siebie, drogo kupił król polski Zygmunt, ojciec obecnego króla Władysława.

W kościele tym odprawia nabożeństwo niemieckie dwóch Jezuitów, z których jeden każe rano, drugi po śniadaniu; ci mają swe kollegium na przedmieściu, albo wsi miastu najbliższej. Wysłuchałem porannego kazania, w którym prawił przeciw żydom, luteranom i kalwinom. Nabożeństwo odprawiają na taką modłę: czytają ewangelię, a po prefacji śpiewają po niemiecku, czy to hymn, czy psalm. Po kościele zasię chodzi ktoś, dla kaznodziei, podczas gdy każe, datki zbierający.

Po śniadaniu poszliśmy ja i Molai do Karmelitów, gdzie wysłuchaliśmy nabożeństwa niemieckiego, a potem nieszporów. Zaczem wzięliśmy udział w procesji Bożego Ciała, na przodku świece niosąc, i w innych ceremoniach kościelnych. Nabożeństwa w języku polskim odbywają się rano.

Dnia 22 maja. Najdostojniejszy poseł udał się do Senatu gdańskiego. Wprowadziło go dwóch senatorów, reszta oczekiwała go u szczytu schodów.

Wprowadzono go do tej sali, w której przyjmują posłów polskich. Poseł usadzon był sam na większej ławie; na lewo od niego, na innej ławie, siedzieli senatorowie. Skoro najwymowniej i najpłynniej, jak to zwykł, przemówił, wyszli wszyscy senatorowie do inszej sali, by rozważyć, co mu odpowiedzieć mają. Po powrocie ów, który jest Syndykiem — zarazem młodszy od wszystkich innych — wygłosił mowę dość długą. Wszystko po łacinie. Wszyscy słuchali z odkrytymi głowami: kiedy bowiem poseł głowę chciał nakryć, tamci z odkrytymi zostali; zaczem on również.

Ściany i strop kasetonowany zdobne tam są najlepszymi malaturami i dystychami łacińskimi. Na kominku napis: „Ad Remp. ut ad ignem" [6]). Wyprowadzili najdostojniejszego posła w ten-ci sam sposób, w jaki go wprowadzili. Towarzyszył wraz z nami najdostojniejszemu posłowi pułkownik Duplessis, Francuz, mąż krzepki i bliznami wojennymi naznaczon, który wielekroć walczył po polskiej stronie.

Dnia 23 maja. Trzej posłowie holenderscy, którzy w niedzielę przybyli dla roztrząsania tych tu spraw spornych, udali się do Senatu, a po śniadaniu odwiedzili również najdost. posła. Tymczasem ja z Floridem, Molai'em i innymi zwiedziłem katedrę, ogromną zaprawdę i zdobną wielkimi i obfitymi organami, nagrobkami i ołtarzami, szczególnie zasię jednym ołtarzem, w którym jest obraz Sądu Ostatecznego, zamykany podwojami [7]). Opowiadają, jakoby cesarz Rudolf chciał był dać za to malowidło talarów czterdzieści tysięcy. Ten kościół zajmują luteranie. Jest tu także chrzcielnica, zamykana okratowaniem spiżowym na siedemnaście tysięcy talarów szacowana; z pełnego bowiem metalu jest wszystko, i słupki i postaci.

OBJAŚNIENIA:

1 **Kobelgrube** — takiej miejscowości w ogóle nie ma. Może jest to przekręcona nazwa miejscowości **Kobbelbude**, leżącej naprzeciwko ujścia do morza Zalewu Fryskiego, pośrednio zatem i wpadającego do niego ramienia Wisły. Dodać tu trzeba, że Kobbelbude nie leży zresztą bezpośrednio nad brzegiem Zalewu, lecz bardziej w głębi lądu. 2 W tym wypadku mowa o **Górze Biskupiej**. 3 **1.400.000 talarów** — cyfra, zdaje się, przesadzona. E. Keyser w swej „Danziger Geschichte" podaje jako sumę, którą w 1634 r. pobrali Szwedzi z gdańskich ceł morskich — **570 000 talarów**. 4 Mowa tu o **Studni Neptuna na Długim Rynku**. 5 „Dworzec pospólny, cale podobny do gospody św. Gerwazego w Paryżu" — **Dworzec Artusa**. 6 Na kominku napis: „Ad Remp. ut ad ignem" — „Do Rzplitej jak do ognia". 7 **Obraz Sądu Ostatecznego** — dzieło malarza H. Memlinga. **(Przyp. Tłumacza).**

JÓZEF STASZEWSKI

Sopot — prasłowiańskie grodzisko

Piszący te słowa, wędrując po Wybrzeżu dla rekonesansu geologicznego, natknął się przypadkowo na grodzisko wczesno-słowiańskie — w Sopocie. Ślady przedhistorycznej bytności człowieka emocjonują geografa, zwłaszcza ten odłam badaczy, którzy ziemi bez człowieka rozumieć nie umieją. Wszelkie takie badania naukowe odbywa się zazwyczaj con amore. Tym razem emocja wzrosła do potęgi porywającego uczucia.

Obronne grodzisko wczesnych dziejów Polski w Sopocie jest polskiemu społeczeństwu niemal zupełnie nieznane. Sopot, dawne niemieckie Zoppot, znany był przed wojną przede wszystkim jako siedziba jaskini gry — kasyna. Miejscowość zaiste nie zasługiwała na tak smutnej pamięci sławę. Jego przeszłość, to nie tylko warownia Kaszubszczyzny, ale i świadectwo utrwalonego tu bytu Prasłowiańszczyzny.

Samo grodzisko, oglądane oczyma ludzi nieprzywykłych do archeologii, można by nazwać niepozornym. W przedłużeniu ulicy Marszałka Stalina szosa do Gdyni przekracza wiaduktem tor kolejowy. Jeżeli od tego wiaduktu pomaszerujemy jakieś dwieście metrów wzdłuż morenowego wzgórza, natrafimy na stok, zadrzewiony rosłymi grabami i dębami. Wchodzimy na górę — przed nami leży zaklęsłość niby krater miniaturowy, obwiedziony wałem. Zaklęsłość i wyraźnie zarysowany wał ów mają kształt prawie regularnego koła. Średnica przechodząca przez szczytowe koło wału wynosi około sześćdziesięciu metrów. Pierścień wału obniża się nieco ku morzu. Jest to deformacja wynikła z ogólnego nachylenia powierzchni erozyjnej. Od strony morza wysokość grodziska ponad platformę nadbrzeżną dochodzi do 20 metr.

Od strony linii kolejowej widać niemniej wyraźnie fosę wykopaną tu kiedyś, a odcinającą dziś wzgórze od jego otoczenia. Wysokość usypanego wału ponad dzisiejszy poziom fosy sięga siedmiu do ośmiu metrów. Wzgórze, częściowo sztucznie z otoczenia „wypreparowane“, objęte jest z dwu stron parowami, w których szumią potoki. Odznaczają się one wielką siłą erozyjną, jak zresztą wszystkie strumienie, rzeźbiące po dzień dzisiejszy oblicze klifu i boru sopocko-oliwskiego.

A jednak te dwa potoki huczą inaczej, głośniej, bardziej tajemniczo, niż inne. Nie jest to przesada, nie poetycka przenośnia, nie sugestywne urojenie. Tysiąc kilkaset lat temu ludzie, wsłuchani w tajemniczy ich poszum — była to na pewno drużyna słowiańska, ludzie o mięśniach z żelaza i nerwach ze stali — wykopali tu głęboką fosę. Sprowadzili do niej odnogę szumiącego u stóp wzgórza potoku i zapełnili ją wodą. Na platformie szczytowej wzgórza poczęli następnie kopać regularne, koliste pogłębienie, usypując ziemię na skraju wzgórza. W ten sposób powstał wysoki nasyp — wał grodziskowy, typowo słowiański. Wyrzucona ziemia została ubita deskami i kołami.

Mamy opis takich robót fortyfikacyjnych Słowian pierwotnych około grodziska — co prawda, typu nizinnego, nie wyżynnego, jak nasze — opis in flagranti, przekazany przez arabskiego podróżnika Ibrahima ibn Jakuba, który w 973-im roku posłował do Mierzyna (później, po niem. Merseburg) na dwór cesarza Ottona I-ego. „Kiedy“ — opowiada ów podróżnik — „wał doszedł do wymaganej wysokości, wykopali przezeń b r a m ę w miejscu ku temu najbardziej odpowiednim i zbudowali przez fosę drewniany most“.

Tak samo było kiedyś z budową prasłowiańskiego grodziska w naszym Sopocie. Stoki wzgórza najeżone ostrymi kołami, w obrębie wału nagromadzono większe i mniejsze „buły granitowe“, jako pociski kamienne i — robota z grubsza była skończona. Z kolei, zabrzmiało w osadzie — życie. Do grodziska znoszono rogi jeleni, turów i żubrów, które upolowane zostały w borach sopocko-oliwskich. Na podwalinie tych trofeów myśliwskich wyrosła drewniana świątynia boga — Swarożyca. W drzewie wyrzeźbiono tu misternie jego t r ó j g ł o w y wizerunek, nazwę jego tajemniczym wyryto runem-symbolem. W świątyni zatknięto lniane chorągwie, które w czasie wojny były talizmanem męstwa sopockiej drużyny. Jej przywódcy stanęli na szczycie wału, wpatrzeni w dal tajemniczego morza. Hardo podnieśli głowę, spokojni, bo oto grodzisko było gotowe do pomieszczenia w razie potrzeby całego osiedla wraz z ludźmi i dobytkiem.

Wstąpmy na szczyt wału, który w swoim kształcie kolistym do dziś się przechował. Rozglądnijmy się stąd po świecie. W stronie lądu szeregują się wspaniałe kulisy zalesionych wzgórz. Obchodzimy wał dookoła — coraz to nowe wyłaniają się przed nami widnokręgi. Wszystko jak w baśni. Jesteśmy w obrębie miasta, a jednak milknie tu gwar...

Zamarła przeszłość oparem dali legła na widokresie. Otacza nas głuche leśne u r o c z y s k o, wspaniałe, pierwotne jak człowiek: — żupan, naczelnik słowiański, który wybrał to wzgórze dla obrony swojej drużyny. Uroczysko zaklęte drzemie we śnie lat tysiąca, pamiętając czasy, kiedy jeszcze morze kipielą swoich fal podmywało stok grodziska. Dziś brzeg oddalił się o pięćset metrów.

Za nami, z tyłu, wznosi się „maskujące wzgórze“. Podziwiać tutaj należy ludzi pierwotnych, którzy wykazali tak niezwykłą umiejętność wyzyskiwania topografii. Dziś na owym sąsiednim, maskującym wzgórzu bieleją piaski... okopów z czasów ostatniej wojny. Tak zamierzchła przeszłość skostniałą ręką podała miecz — współczesności. „Corsi ricorsi“ — powiedziałby włoski historyk-filozof Giambattista Vico.

Jako przedmiot archeologii grodzisko w Sopocie nie różni się niczym od setek innych grodzisk na Pomorzu. Jest coś jednak w jego geograficznym otoczeniu, co czyni go nawet symbolem bytu Polski nad morzem.

Przed nami leży atlas Pomorza, a raczej dawnej pruskiej prowincji Pommern, wydany w 1934 roku. Niemiecki atlas, liczący ponad pięćdziesiąt map. Wszystko tam można znaleźć, od geologii do... piwa. Cóż za solidność! Brak tylko tego, co najważniejsze dla prowincji Pommern: — mapy rozmieszczenia słowiańskich grodzisk, owych sławnych — jakby się Niemiec wyraził — „Burgwälle“.

Rzecz prosta: — wszystkie grodziska, ile ich jest, są tworem Słowian. Współcześnie - historyczna ich epoka nazywa się epoką g r o d z i s k o w ą. Sagi skandynawskie nazywają północno-wschodnią Słowiańszczyznę — G a r d a r i k i, to znaczy: „kraj grodów“. Najoczywiściej **niemiecka redakcja wspomnianego wyżej atlasu nie chciała zapełnić jednej ze swoich map czterema czy pięcioma setkami kółek, z których każde przedstawiałoby jedno słowiańskie grodzisko — niepożyte świadectwo myśli, pracy i krwi słowiańskiej.** Bo też wywoływałaby w ten sposób u swoich czytelników tylko paniczny popłoch przed słowiaństwem.

Otwórzmy jednak tablicę trzydziestą czwartą dwutomowego dzieła ks. Władysława Łęgi pt. „Kultura Pomorza we wczesnym średniowieczu na podstawie wykopalisk“ (wyd. w 1930 r.). Każde kółko na tej tablicy przedstawia jedno grodzisko — a ileż ich na niej widzimy! Całym rojem grodzisk obsypany jest brzeg polskiego Dominium Maris. Śmieszne, bo tymczasem Niemcy uporczywie uważają Bałtyk za „germanisches Mittelmeer — germańskie morze śródziemne“.

W czasach, kiedy nasi pomorsko-polscy przodkowie wznosili grodziska, cała delta Wisły, począwszy od Tczewa na północ, była obszarem amfibicznym, gdzie przeważała woda nad lądem. **Ale Wisła była zawsze najważniejszą drogą, wiodącą ku Europie nadbałtyckiej.** Pierwszy naszego kontynentu historyk, Herodot, posiadał o tej drodze niejasne wiadomości. **Wisłę nazywa „pewną rzeką“ — Eridanos“.** Nasze „Monumenta Poloniae Maritima“ zaczynają się od tego „ojca historii“.

Tutaj to właśnie nad Eridanem, półkolem, dokoła wzgórzystego obramowania dzisiejszej delty Wisły, **wznieśli Pomorzanie 37 grodzisk, najgęściej w okolicach — jak się okazuje — prastarego Tczewa,** punktu, który w owych czasach był końcem „drogi wiślanej“. Północno-zachodnim krańcem wklęsłego wówczas półkola delty Wisły są grodziska w Oksywiu i Sopocie, obydwa w bezpośredniej bliskości morza.

W związku z zagęszczeniem wczesno - słowiańskich grodzisk trzeba zaznaczyć, że ich średnia wzajemna odległość wynosi w ziemi tczewskiej pięć do sześciu km. Cztery z nich leżą w pobliżu Lubieszowa, jedno zaś w samym Lubieszowie, wśród wzgórz drumlinowych, sławnych ze zwycięstwa Batorego, względnie jego kasztelana Jana Zborowskiego, nad buntym i niekarnym mieszczaństwem Gdańska w kwietniu 1577-ego roku. Duchy Prasłowian obudziły się tu wówczas z grodzisk, wtórując szelestom skrzydeł husarii Zborowskiego.

Tutaj też przy ujściu drogi wiślanej, już na wiele stuleci przed buntem Gdańska, największe czaiło się niebezpieczeństwo: — napór ze strony skandynawskich Gotów, a potem wikingów. Wskazują na to pewne poszlaki. **W Orunii, w bezpośredniej bliskości Gdańska, wydobyto w latach 1933 i 1934 ze storfiałych bagnisk trzy prawie całkowicie przechowane łodzie wikingów. W pradolinnej ramie kępy Oksywskiej znaleziono również trzy łodzie,** z których jedną w Mechelinkach w 1906-ym r. Do trzynastu metrów długie i tylko ponad dwa metry szerokie mieściły one w sobie do dwudziestu wioślarzy.

Powróćmy jednak myślą do Sopotu. Był on niejako awangardą Wisły, wysuniętą ku brzegom Bałtyku. **Sopot — ciekawa nazwa.** Żaden język słowiański nie ma już dziś w użyciu wyrazu, od którego nazwa ta pochodzi. Domyślamy się tylko z etymologii, **że oznacza ona ponik, strumień albo w ogólności źródło.** Związek tu widoczny z **osadnictwem nadwodnym.** Znane jest zamiłowanie Słowian do osiedlania się nad wodami. Nawet sąsiedzi ich — Rumuni, Węgrzy, Albańczycy i Grecy — zapożyczyli dziesiątki słów ze słowiańskiego słownictwa wodnego.

Wbrew pospolitemu — zdawało by się — poczuciu, wręcz n i e p o p r a w n a jest forma gramatyczna: — Sopoty. W najstarszym dokumencie tego osiedla — jak już w 1-szym numerze „Wiatru od Morza“ zauważył M. Pelczar—występuje postać Sopoth. Jest to brzmienie kaszubskie, jedynie poprawne, z którego powstało niemieckie Zoppot. Oczywiście, że nie jest tu na odwrót. Formę: Sopot podaje taktyczna mapa Polski (1 : 100.000). Tak więc i my musimy mówić.

W nazwie tej zastanowić nas powinien przede wszystkim jej powszechno-słowiański charakter. Od Sopotu przy ujściu Odry do Sopotniej góry u stóp Sudetów, od Białorusi, aż hen za górną Wołgę, od Zlatej Prahy po Macedonię — pierwotne plemiona słowiańskie zakładały dziesiątki osad pod nazwą Sopotu. W Macedonii na nieznacznym obszarze kilku powiatów występuje aż dwanaście razy nazwa Sopoti. Ale zgoła najciekawsze są dwukrotnie występujące Sopoti na dalekim Peloponezie pod słonecznym niebem Hellady, dokąd je Słowianie macedończycy w VIII-ym zanieśli stuleciu.

Nazwa Sopotu związana jest prawdopodobnie z kultem religijnym. O górze Sopotniej, inaczej Ślężej, między Świdnicą, a Wrocławiem, mamy bezpośrednie świadectwo Thietmara z 1018-ego r., który podaje, że owa góra Sopotnia „była przez mieszkańców niezmiernie czczoną“. Rósł tam święty gaj — l u c u s Ž u t i b u r e, „gaj Świętybór“.

Takie święte, sopotnie źródło i taki też „świętybór“ w borze Sopockim miało niechybnie również nasze grodzisko. Było i ono miejscem kultu religijnego — jako j e d y n e p r a w d z i w e s o p o t n i e g r o d z i s k o n a d n a s z y m B a ł t y k i e m. Niechże nadal i na przyszłość trwa ono, jako symbol słowiaństwa nad Polskim Morzem!

FRANCISZEK FENIKOWSKI

RODOWÓD SMĘTKA

I

Smętek, który przed ukazaniem się „Wiatru od morza" Żeromskiego znany był jedynie kaszubskiemu ludowi i niewielkiej liczbie etnografów, stał się w ciągu ostatnich dwudziestu lat jedną z najpopularniejszych postaci naszej literatury. Skąd taka niespodziewana kariera nieznanego prowincjonalisty?

Rodowód Smętka jest równie rozległy, jak zawiły. Genealog, który chciałby naszkicować drzewo rodowe tego trapiducha polskich ziem nadmorskich, musiałby zdeptać wiele piaszczystych dróg i ścieżek, i to nie tylko polskich. W poszukiwaniach swych odkryłby prawdopodobnie ślady bliższych czy dalszych jego krewnych, m. in. i na Litwie. Poznałby i „smutsa"-diabła, zalewającego sadła za skórę — Łotyszom. Zetknąłby się i z biesem, za sprawą którego - według Thietmara — począł swój żywot zacięty wróg Słowian, cesarz Otton I. Odnalazłby i czorta, szwargocącego po niemiecku na Ukrainie.

W ten sposób natknąłby się w końcu na jednego z protoplastów Smętka, na znanego nam dobrze diabła-Niemca, którego m. in. w krzyżackiej zbroi widzimy na syntetyzującym historię polską obrazie Wodzinowskiego „W wawelskiej katedrze". Znajomek ten, saski najeźdźca, Krzyżak, brandenburski czy pruski pachołek towarzyszy dziejom naszym niemalże od początku bytu narodowego. Ślady jego zdecydowanie przypominają — tropy diabła.

Odnajdujemy bez trudu te ślady w przeszłości Polski, już to na kartach dokumentów historycznych, już to i w autentycznych księgach grodzkich. Są one stare, ale są i nowsze. Nie tylko na wpół zatarte, ale i nieźle do dziś dnia zachowane, żywe w pamięci, prawie świeże. Warto im przyjrzeć się z bliska, idąc za przykładem dwu ostatnich głośnych ich tropicieli: Stefana Żeromskiego i Melchiora Wańkowicza.

Złośliwy uśmiech diabła-Niemca przebija przez niezliczone przysłowia, legendy i baśnie małopolskie, czy góralskie. Znany jest zarówno na Mazurach jak i w Wielkopolsce. Chociaż diabeł Kusy czy Rokita noszą imiona polskie, jednak ich rysy mają charakter niemiecki. O niemieckości Kusego mówi już samo jego miano, związane z kusym fraczkiem. Dowód narodowości Rokity znajdziemy choćby na Śląsku, gdzie „zatraconymi rokitkami" nazywa się właśnie Niemców.

Wszędobylskość tych szwabsko-diabelskich mieszańców w Polsce dowodzi wyraźnie, **jak nieufnie i wrogo odnoszono się wszędzie na naszych ziemiach do niemieckości.** Impuls indywidualny, jak również i myśl społeczna stworzyły w tym wypadku obraz symbolu, zgodny z wewnętrznymi przekonaniami narodu. Obraz to jednego typu, dzieło tysiącletniej, obfitującej w ciężkie doświadczenia szkoły, w której Słowiane z nad Wisły na wskroś poznali drapieżny charakter niemiecki. Jeśli zachodzą tu jakieś mutacje, to tylko i jedynie rodzajowo - regionalne.

Lud spod Lublina i Chełma zna dotąd przysłowie: **„Szwab i szwabica to diabeł i diablica".** Nawet w Łęczyckim, gdzie panował diabeł-Boruta wyjaśniło się, że i on tylko dla niepoznaki przebrał się w kontusz i kołpak polskiego szlachcica. W istocie, ten groźny bies był — Niemczurem. Zanotował to nawet najlepszy znawca naszego folkloru, Oskar Kolberg, który opowiada, jak to pewien mieszkaniec Łęczyckiego, chłop ze wsi Topola, jadąc w nocy przez sławne tamtejsze bagna, napotkał po drodze dziwo ubrane w czarny, niemiecki strój. W żółtych, wielkich zębach piekielna ta zjawa trzymała porcelanową fajkę; jej głowę zdobił kapelusz, przypominający wielkiego nietoperza o rozpostartych skrzydłach. Chłop przeżegnał się i zapytał:

— W imię Ojca i Syna! Czyś ty jest diabeł-Boruta?

— Ja, ja — odpowiedziało widmo.

Na to kmiotek, nie namyślając się długo, chwycił za kłonicę i uderzył nią biesa po głowie. Nazajutrz znaleziono w tym miejscu utopionego w błocie „regierungsratha". Podobno rząd pruski rozesłał potem okólniki z wyjaśnieniem, że ludzie noszący pończochy, fraki i wielkie kapelusze, to nie diabły, lecz niemieccy urzędnicy. Niewielka to jednak różnica. Przecież **„gdzie diabeł nie może, tam Niemca łoży"**, a **„kto Niemcowi służy, temu diabeł płaci"** — powiadają przysłowia.

Co prawda, dziwna ta przygoda z Borutą zdarzyła się już w ostatnich latach XVIII-ego wieku, po trzecim rozbiorze Rzeczypospolitej. Chociaż stanowi ona raczej przykład komicznego nieporozumienia, niemniej świadczyć może wymownie, że nawet diabelstwo rodzime, uosobione w postaci polskiego szlachcica, lud miejscowy mógł pogodzić jedynie ze złowieszczą istotą i duchem niemczyzny.

Przekonanie to, wryte głęboko w pamięć naszego ludu, utrzymywało się do dziś dnia. **Ostatnio zaktualizowała go wojna pod postacią Hitlera i jego trupiogłowego sztabu.**

Z tradycji ludowej przedostał się diabeł-Niemiec do naszej literatury. Widzimy go w „Pochwale wieku" Krasickiego, w której, kiedy:

Zdejmowały uroki stare baby dziecku,
skakał na pustej baszcie diabeł po niemiecku.

Jako „istny Niemiec—sztuczka kusa" występuje on w wesołej balladzie Mickiewicza o „Pani Twardowskiej". Odnajdujemy go następnie i we fragmentach utworów Góreckiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego, Zacharjasiewicza, Szujskiego, Dygasińskiego, Reymonta, jako też Bunikiewicza. Dokładnie opisuje Kusego Lucjan Rydel w „Zaczarowanym kole". Na tym kończyłby się pobieżny przegląd jednej linii genealogicznej Smętka.

II

Zajmijmy się z kolei jego drugą linią — pomorską. Smętek, choć imię jego — jak to stwierdza Fischer — rozbrzmiewa aż na drugim krańcu Rzplitej w małopolskich przekleństwach: „Idź do Smętka!", czy też „niech go Smętek weźmie!" — **jest jednak postacią związaną przede wszystkim z naszymi ziemiami nadmorskimi. Kolebką jego były prawdopodobnie Mazury pruskie. Stąd potem, rozszerzając granice swego władztwa, przedostał się na Pomorze właściwe.**

Trapiduch ów różni się od swych pokrewnych biesów, grasujących w głębi Polski. Jak zapewniała mnie znawczyni folkloru Pomorza, dr Bożena Stelmachowska, Smętek, czy Smantek ludowy, to autochton zrodzony z tchnących posępnym smętem pojezierzy przymorskich, wyrosły z metafizycznego stosunku człowieka wybrzeża do spraw morza, kryjącego w swych głębinach bezmiar tajemnic.

Potwierdza to i dzisiaj bogaty świat wierzeń Kaszubów, ciekawy jak ich cała rodzima mitologia. Snują się wszakże wieczorami po kaszubskich checzach opowieści o olbrzymie-Stolemie, o kraśniakach w czerwonych muckach, o latających rybach, o bohaterskiej Wysmie, córce księcia Strumyka. Nieboszczykowi wkłada się tu w usta pieniążek, a w trumnę sznur z wieloma trudnymi do rozsupłania węzłami, aby zmarły, rozplątując je, nie miał czasu na straszenie po nocach, jako „wieszczy" — upiór. Podobne zresztą przesądy spotyka się nie tylko wśród kaszubskiego ludu. **Rozciągają się one na wszystkich niemal ludzi morza.** Wiadomo przecież, że niejeden kapitan i dziś dla przekupienia fal i szkwałów wyrzuci chyłkiem za burtę swego statku jakiś cenny dla siebie przedmiot. Nadzwyczaj ciekawa diabolika morska nie została jednak dotychczas gruntownie zbadana. A szkoda, znaleźlibyśmy w niej może wytłumaczenie niektórych oryginalnych cech Smętka w koligacji z szerokim światem.



Przedwiośnie na naszym wybrzeżu

Fot. E. Zdanowski

Jeśli chodzi o Smętka w naszej literaturze, po raz pierwszy spotykamy go w kaszubskim poemacie Jarosza Derdowskiego „O panu Czorlińscim, co po sece do Pucka jechoł". Mora, która w nocy nękała panią Czorlińską, zaprowadzi nas od jej okna jako czarna „skrzydlata gapa" (wrona), prosto do Smętkowej rezydencji. Znajduje się ona „na Łesej Gorze pod Gostomniem" (oczywiście mowa tu o Gostominie) w powiecie kościerskim, u samych bram przedpiekla. Kiedy stajemy na miejscu:

W tym se—jencie —! cało gora łomnie na połowę,
Aż z ni na samuścim czubku coś wytyka głowę.
Ta dechciutko beła czorna jak kamnienno smoła,
Z ony ocze dwa ogniste wzerałe dokoła.
Nad łeseną widac rodzie, włosów za to mało,
To doch — meslec se możeła — brzedko weglondało.
Musze wama mest powiedziec, zebesta wiedzele,
Że to Smętek beł wierutny w swoim żewem cele.

„Wierutny" Smętek, któremu waleczny święty Michał nie pozwala krzywdzić pana Czorlińściego, jest w poemacie Derdowskiego, podobnie jak w tradycji ludowej, pokryty grubą warstwą rubaszności, brzydoty, choć nieraz i komizmu.

W tej z grubsza ociosanej bryle dostrzegł Stefan Żeromski vigelandowski posąg ducha zła i mroku, urzekającego pięknem postaci i złowrogim uśmiechem oczu. „Młody kunigas" i „pięknolicy knop" Żeromskiego tylko „płomiennym wzrokiem" przypomina swego imiennika z poematu Derdowskiego. Ze skrzyżowania trapiducha pomorskiego z diabłem-Niemcem narodziła się tu postać nowa, oryginalna, jednocząca w sobie cechy obu poprzedników.

Jest ona kolejno bartnikiem przebiegającym pomorskie puszcze, pruskim przewoźnikiem św. Wojciecha, tajemniczym Graffiacane — intrygantem i fałszerzem zakonnym, niewidzialnym przeciwnikiem Jana z Kolna i Kopernika, wreszcie agitatorem, gardłującym po pierwszej wojnie światowej przeciw Polsce. Słowem, jest tym odwiecznym doradcą, o którym mówił motyw wyroku, rzucającego ekskomunikę na Krzyżaków, orzekający, że **„odrzucili oni bojaźń Bożą za radą diabła".**

Urósłszy po raz pierwszy w oczach Żeromskiego do wielkości symbolu, Smętek swym cieniem pokrył Smętka ludowego, Kusego i Rokitę. Zepchnął ich na drugi plan, by odtąd sam dla całej Polski ucieleśnić niemiecki podstęp i złość. Świadczy o tym choćby i zamieszczony w 1-ym numerze „Wiatru od Morza" artykuł J. Dobraczyńskiego o Conradzie, gdzie autor dostrzega Smętka w postaci Niemca-Schoenberga z powieści „Zwycięstwo", pisząc: „...Jeszcze Smętek-Schoenberg szczerzy zęby w łotrowskim uśmiechu, ten Schoenberg w całym rozkwicie swego cynizmu, tchórzostwa i zbrodniczości, w jakim go mogły ujrzeć oczy tylko umiejącego patrzeć — Polaka".

Jeszcze wyraźniej widzimy to w aktualnym artykule autora „Dannemory" pt.: „Niemcy w zwierciedle Norymbergi" („Głos Wielkopolski" 26. III br.). Kawczyński mówi tam o aktach obecnie toczącego się procesu: „...Oto pierwsze zwierciadło norymberskie, w którym utrwalona jest raz na zawsze dusza niemiecka, **dusza Smętka,** który od tylu wieków straszy na naszych ziemiach".

Dziś dla każdego Polaka Smętek stał się wcieleniem duszy niemieckiej. Jest to bezsprzecznie zasługą Żeromskiego, który pierwszy odważył się spojrzeć w głąb Smętkowych źrenic. Co w nich wyczytał, wiemy z urywku „Wiatru od morza", opisującego finał spotkania kwatermistrza Zakonu, Hermana Balka, ze złym duchem dziejów Pomorza:

Balk „patrzył ze szpar żelaznych w straszne oczy pruskiego zdrajcy. I wyczytał w nich, że z konia zsiąść musi, i, upadłszy na kolana, oddać mu pokłon. We wzroku tym było coś więcej niż szalbierstwo i podrobienie dokumentów, niż zdolność do matactwa i oszustwa, do krzywoprzysięstwa i tyranii, niż zdatność do wyprowadzenia w pole wszystkich jurystów i szachrajów świata, niż umiejętność zatarcia prawdy, wykrzywienia istoty rzeczy i pochwycenia w porę fałszu owoców. We wzroku tym była sama w sobie, istotna, własna, zupełna dusza Hermana Balka. To jego własna dusza z zewnątrz patrzała mu w oczy".

III

Na „Wietrze od morza" nie zakończyła się jednak ewolucja postaci Smętka. W dalszym jej rozwoju dostrzegamy niejako walkę cech, odziedziczonych po przodkach z obu linii genealogicznych.

Smętka ludowego, Smętka-psotnika i pocieszyciela widzimy w „Legendzie o masztowej sośnie" Janusza Stępowskiego. W dwunastej pieśni tego poematu autor, uderzając w ton ludowej baśni, opowiada, jak to trapiduch pomorski, tupiący piętami po smugach i gryzący ze świstem piasek nadmorski, nie tylko dla psoty zasypuje ogniska polskim żołnierzom strzegącym helskiego półwyspu, lecz także pociesza przy miodzie strażnika puckiego, Lanckorońskiego, który wyczekuje daremnie powrotu polskiej floty z Wismaru.

Ważną rolę gra Smętek w najlepszym utworze Aleksandra Majkowskiego pt. „Życie i przygody Remusa". Występuje on tu jako chytry, przebiegły adwokat Czernik, namawiający szlachtę do sprzedawania ziemi Niemcom. (Szczegółowe omówienie tej powieści podaje Edward Martuszewski w swej pracy krytycznej pt.: „Remus — kaszubski don Quijote", zamieszczonej w bieżącym n-rze. — **Przyp. Red.)**

Zupełnie inaczej wygląda trapiduch pomorski w powieści o Arciszewskim Bohdana Rychlińskiego. Autor usiłuje tu, wyzwoliwszy się spod sugestii wizji Żeromskiego, choć w części zrehabilitować złego ducha Pomorza. Jednooki Smętek-Rychlik, nieodstępny towarzysz Krzysztofa Arciszewskiego, związany z nim nostalgią i poczuciem wspólnej niedoli, to raczej duch przekory i przedsiębiorczości. Pchając przyszłego wodza niderlandzkiej armady i obrońcę Lwowa do złego, ratuje go jednak w potrzebie, tamując rannemu krew. Wiedzie go przez zbrodnie — ku potędze i sławie.

Koncepcja ta, nie doczekawszy się kontynuatorów, nie utrzymała się długo. Zjawił się nowy tropiciel — Melchior Wańkowicz, który krocząc „Na tropach Smętka", wynik swej wyprawy na Warmię i Mazury sformułował następująco: „Wbrew twierdzeniu Żeromskiego, że zły duch tej ziemi, reprezentujący **ducha wojującej niemczyzny,** po traktacie wersalskim Prusy Wschodnie opuścił na zawsze, stwierdzam, że wrócił, że działa, że masy niemieckie wróciły mu do ręki i że świeżutkie tropy Smętka nachodziłem co krok".

Smutne to ślady: krew pomordowanych działaczy polskich, represje za uczęszczanie do polskich szkół i czytanie polskich gazet, niemczenie polskich nazw wiosek, znieprawianie dusz mazurskiego ludu. Smętek w tym nowym i — jak dotychczas — ostatnim stadium swej ewolucji jest symbolem, pokrywającym dziesiątki postaci: **hitlerowskich „gauleiterów", pracowników antypolskiego „Studium für Osteuropa" i wszystkich tępiących w Prusach ostatnie ślady polskości.**

Ostatni to etap walki ze Smętkiem lub o Smętka. Walki, jak widzimy, przed wojną nierozstrzygniętej. Jak więc będzie on wyglądał w naszej literaturze powojennej?

Zdaje się, że historia lat ostatnich odpowiedziała na to pytanie, potwierdzając szeregiem krwawych pieczęci prawdziwość wizji Żeromskiego. Potwierdził to i sam „duch wojującej niemczyzny" — twórca Stutthoffu, Potulic i Oświęcimia, który mścił się przede wszystkim na swych tropicielach. On to zburzył domek w Gdyni, w którym Żeromski tworzył fragmenty „Wiatru od morza". On też ściął witomińskie buki, Sambora i Mestwina. On również, nie mogąc dosięgnąć samego Wańkowicza, wymordował prawie jego całą pozostałą w kraju rodzinę.

Obraz Smętka, jako diabła-Niemca, pozostanie nam w oczach na długo. Takim też pozostanie prawdopodobnie Smętek na razie i w naszej literaturze. Dopiero, kiedy spełni się życzenie, wyrażone przez Kaszubów w piosence:

Wignac Mjemca! Wignac Mjemca
za czerwone morze!
Niech on tam na chleb zarobi,
pazurami orze...

kiedy przepędzimy plemię „płowych bestii Nietzschego" za czerwone morze rozlanej przez nie krwi, kiedy zatrzemy ostatnie ich ślady na ziemi pomorskiej, może koncepcję złowrogiego Smętka z „Wiatru od morza" zwycięży w naszej literaturze zadumany smętny duch znad kaszubskich i mazurskich jezior.

ANNA GAŁCZYŃSKA-FOLKIERSKA

Norwid nad morzem

I pożegnałem kraj, i brzegi znane
Odepchnąłem nogą, jak wioślarz z łodzi,
Kraj, gdzie każdy czyn za wcześnie wschodzi,
Ale książka każda za późno...

Z wiersza Norwida: „Do spółczesnych".

I

Najczęściej na wzmiankę o Norwidzie przeciętny, lub mniej przeciętny czytelnik robi minę tajemniczo - intelektualną. Przypomina sobie zawiłe dysertacje o sztuce i stylu, może jakiś drobny klejnocik o cyprysach i Juliecie, może księżycowe cienie z „Pogrzebu Bema" — coś o Szopenie, Don Kichocie. I robi się wtedy „laurowo i ciemno".

A warto sobie uprzytomnić Norwida jako twórcę wcale czytelnych i wcale scenicznych sztuk — zwłaszcza z rodzaju, który nazywa on „la haute comédie" lub „białą tragedią". Z tego cyklu Warszawa przedwojenna miała okazję oglądać norwidowski „Pierścień wielkiej damy", wcale ciekawie wystawiony przez Osterwę.

Parentele sztukom Norwida można wyszukiwać rozmaite. Z pewnością nie najdalszą z nich będzie „teatr myśli" Alfreda de Vigny z jego tryptykiem sztuk, o centralnym wizerunku Chattertona, samotnika w społeczeństwie. Wiąże też Norwida pewne pokrewieństwo z przedziwnym teatrem Musset'a a to dzięki ogólnej stylizacji, na poły żartobliwej, na poły poważnej, po wtóre zaś przez silne zaznaczenie postaci kobiecych. A propos, zacytujemy tu jego własne słowa z przedmowy do „Pierścienia wielkiej damy":

...„Piękną dla dramaturga trudnością jest to, co zarazem przedstawuje się jako głębokie dla psychologii społecznej pytanie, to jest, że artyzm polski nie potrafił dotąd uznać kobiet... Nie ma tam, mówię, kobiet istotnych i całych; Wanda co nie chciała Niemca, nie wiemy czego chciała... Telimena, może najzupełniejsza jako twór artystyczny, nie jest dość transcendentalną; Zosia, to dopiero panna z pensji, a prześliczna Maria Malczewskiego rozwinąć się w zupełną postać nie miała czasu, będąc wrychle poduszkami zaduszoną czyli w trzęsawisku pogrążoną".

Otóż powtarzający się u Norwida dwugłos kobiecy: postać centralna i jej dopełnienie lub przeciwwaga, echo przeżyć osobistych — to sylwetki co najmniej ciekawe. Znany z troski o wyraz najdokładniejszy, **„by odpowiednie dać rzeczy słowo"**, kładzie Norwid wielki nacisk na formę i recytację. Chwilami podpowiada „rewelacje" najwspółcześniejsze. „Biały wiersz musi się rymować na całą długość" — pisze w przedmowie do „Krakusa".

Komizm i tragizm psychologiczny Norwida oraz to, co nazywa on „fatalnością historyczną, albo socjalną", mało mają wspólnego z panującymi ówcześnie formami teatru. Podobnie jak Stendhal, zdaje sobie on sprawę, że pisze „dla wnuków". Teatr to zciszony, osoby przywodzą często na myśl marionetki, wywołane grymasem losu lub autora.

II

Norwid dumny był z krwi normandzkiej, płynącej w jego żyłach. Pomijając manię koligacji (nieobca i geniuszowi Balzaka), szczegół ten może interesować w związku z reminiscencjami morskimi w jego twórczości. Są to bądź porównania, jak: **„w żagle dmiesz, a nie chcesz dobywać kotwicy"** (w wierszu pt. „Gadki"), lub fragmenty opisowe np.: **„żagle się wiatru liżą północnemu, wre morze"** (w wierszu pt. „Wczora i ja"), bądź też całe utwory.

Alegoria pisana prozą pt. „Cywilizacja", osnuta jest na tle typowo emigranckiego statku. Poprzedzający akcję opis żaglowca, to obraz, którego gwarancję artystyczną wzmacnia autentyzm przeżyć:

„Otóż i widzisz — mówiłem mojemu młodemu znajomemu — że rzeczy te nie są mi obce; owszem, od ogromnych żaglowego okrętu podwalin, budowanie arki przypominających,... przeszedłszy następnie miejsca ciemne, gdzie ordzawione wodą słoną łańcuchy kotwic się pierścienią, lub wyciągnięte są podłużnie w niedbałym na posadzce odpocznieniu; przeszedłszy jeszcze wyżej do korytarzy kabin, i wyżej na pokład okrętowy, którego każda deska biała jest i miękka od umywań, a wszystkie są jakoby wieko skrzypiec, pięknie wygięte; podniósłszy oczy tam, gdzie lin wielu okrętowych niewzdrygliwe siatki się przekreślają na niebiosach, albo i gdzie powietrze rozbija namioty swoje szerokiemi żaglami, albo i gdzie trzy masztów krzyże kończynami swymi podobne są jakieś mistycznej troistości, kiedy umierają we mgłach rannych, w mętach opalowego światłocienia, a wilgoci ciepłej i słonawej mętach, niekiedy przedartych zgubionemi słońca promieniami — wszystko to, jak widzisz, jest mi znane.

...To, i nadto huk żagli pękających, do wystrzałów mającego się poddać miasta podobny, i upadanie majtków (dziś powiedzielibyśmy: marynarzy. — Przyp. aut.), niebezpieczne ze szczytów zatrzęsionego burzą masztu, i przekleństwa ich, mówione językiem morskim, który może jeszcze ma fenickie w korzeniu swoim pierwiastki, i niecierpliwienie się czterech łodzi, zawieszonych po okrętu bokach"...

Stan ducha poety, opuszczającego Europę w rozgoryczeniu miłosnym i twórczym, zaostrza mu wzrok na sprawy najczęściej niedostrzegane w epoce wielkiego gestu. Obserwuje swoisty egzotyzm, panujący w przypadkowym tłumie emigrantów, notuje scenki charakterystyczne, jak np.: „Kapitan nie ruszał się z wielkiego salonu, gdzie grał w szachy z ambasadorem dzikiego książątka i żuł cicho amerykański tytuń, żółty jak złoto"... „Zaiste" — pisze dalej Norwid w tejże samej „Cywilizacji" — **„jedna jest rzecz, łącząca bliżej obywateli okrętu tego** — a słowa te wyrzekłszy, **uderzyłem nogą w ruchomy pokład statku".**

Samotny i ubogi Norwid widzi na morzu niedolę emigranta, trud pracowników morza, bezpośrednią wartość specyficznie morskich stosunków.

III

Sztuka „morska" Norwida rozgrywa się na północy Francji. Jej tytuł: „Miłość czysta u kąpieli morskich". Tło tutaj stanowi modna miejscowość kuracyjna. Morze spełnia w sztuce rolę dekoracji jak również i symbolu. Norwid często zawiązuje akcję „u wód", gdzie ma okazję w środowisku snobistycznym rozwinąć subtelne nici „białej tragedii".

„Miłość czysta u kąpieli morskich" nazwać można żartem scenicznym. Wśród dwóch par występujących, mężczyźni to typy raczej, niż osoby. Kobiety pełnią rolę wygłosu w sztuce. I co ciekawe, realizują one zarówno moment refleksyjny, jak paradoksalny, ironię drugiego planu. Norwid dezorientuje widza, każąc domyślać się i wyławiać sens w doskonale artystycznie zorganizowanej parodii. Sztuka w przeciwieństwie do parodii, nie posiada nawet odwrotnej strony medalu — tej lewej strony kobierca, skąd odgadnąć można osnowę wzoru.

Julia, Marta, Erazm i Feliks zaskakują prawdą ludzką wśród maskujący ich satyry.

Intryga ogólna oscyluje pomiędzy ironią, a łagodnym komizmem. Wytworna, o dziwnych przebłyskach ludzkich Julia, zaręcza się z pedantyczną kukłą - rezonerem, hr. Erazmem Flegminem. Marta, kobieta „głębsza", jest w nim skrycie zakochana. Julię kocha w stylu romantycznym Feliks Skorybut, przysłany tu przez ciotkę, aby kurować się z szalonej miłości do aktorki. Zwykły familijny bałagan „u kąpieli morskich".

Pewne sztuczności w akcji sztuki harmonizują z nastrojem miejscowości kąpielowej. Atmosfera wylęgarni drobnych intryg i małych dramacików w zetknięciu ze szczerze poetyckim nurtem sztuki, stwarza akcenty humorystyczne. Środowisko określa gatunek przeżyć, autor poddaje mu się w sensie najszerszym. Słychać dzwonki osłów wiozących mleko, syrenę stateczku, punktualnie zdążającego do brzegów Anglii i z powrotem...

Poetę mogły skusić pełne kontrasty. Woli on jednak zaznaczać je lekko, nieodcyfrowane, snujące się jak dym nad krajobrazem. Z postaci sztuki młody Feliks posiada może najwięcej cech bliskich autorowi. Poza dość zdawkową rolą, każe mu Norwid wygłosić monolog, identyczny romantycznej „pieśni" bohatera z noweli „Stygmat".

Postać Feliksa jest wariantem typu, spotykanego we wspomnianym „Stygmacie", w komedii „Noc 1002", jak i we wcieleniu najpełniejszym, w postaci Mac Yksa z „Pierścienia wielkiej damy".

Jest rzeczą ciekawą, jak każda z postaci sztuki wpada w egzaltację wobec rzeczy błahych na tym brzegu morskim, przed tym „cmentarzem nieustannie żywym". Może ów brak wyboru w naświetleniu rzeczy ważnych i mniej ważnych dodaje sztuce nastroju dziwności.

Kiedy w ostatniej scenie, nad burzliwym morzem, spotyka się czworo niedoszłych desperatów, słowa Julii kończące sztukę mogą być różnie pojęte. Trudno określić, czy sumują one wartość tej kąpieliskowej „miłości czystej", czy też podkreślają kontrast pary Marta — Feliks, nagle uznającej swe „wewnętrzne pokrewieństwo". A może Norwid miał na myśli jeszcze coś innego? Wszakże każe mówić Julii:

Ja przyszłam w morze rzucić się,
co dzień toż samo czyniąc!
I na sługę czekam z bielizną,
poczem piję ośle mleko...



ROMAN HEISING

MORZE W MUZYCE

...Rozśpiewało się tobą bezdenne przestworze,
tajemna, cicha otchłań...
...W chłodnym całowaniu, tuląc piasek złoty,
zostawia mu niesytej pragnienie tęsknoty,
kiedy nuci piosenki w wieczornej zadumie,
kiedy pocznie się skarżyć i w burzliwym [szumie
na płowe idzie brzegi...
O, morze! Jakże igrasz cudnie
rozbłękitnioną falą w upalne południe...
...Drżące podnosimy dłonie
nad twoje falowaniem rozśpiewane tonie
tajemnicą swą wielką niezmienne...

Janusz Kawecki: „Morze"

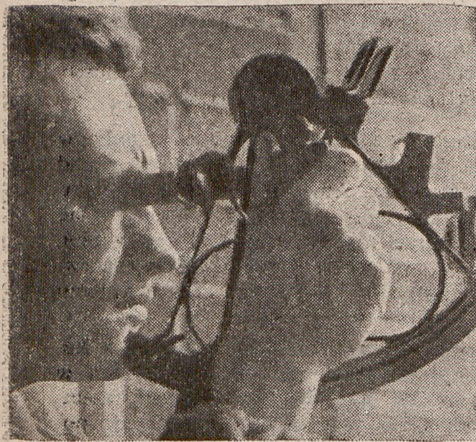
Urok morza zawsze oddziaływał na człowieka. A już wrażliwa dusza artysty-muzyka żywo reaguje na piękno żywiołu morskiego. Nic więc dziwnego, że tematyka morska stanowi źródło twórczej inwencji rozmaitych talentów.

W muzyce wiele natchnienia czerpali kompozytorzy bądź to z grozy i potęgi rozszalałych wód, miotanych huraganem burzliwej mocy, bądź też z bezkresnej dali i ciszy morskiej. Zdarzały się wypadki, że powstawały piękne kompozycje, mimo że ich autorzy nigdy nie oglądali morza. Tworzyli oni zazwyczaj pod wpływem pięknej poezji, barwnie i z uczuciem oddającej obraz morski. Do takich kompozytorów należeli m. in. **Schubert** (pieśń „Na morzu") i **Beethoven** („Cisza morska i szczęśliwa podróż" — utwór chóralny do słów Goethego).

Pierwiastek ilustracyjny, jaki znajdujemy w oratorium „Stworzenie świata" **Haydna,** tylko urywkowo dotyka tematu morskiego. Klasycyzm, okres obiektywizmu, nie sprzyjał doznawaniu tego rodzaju wzruszeń artystycznych. Trzeba było pewnego zwrotu w stronę nieuchwytnych stanów uczuciowych, subiektywnych przeżyć, co ogólnie określa się mianem romantyzmu. Świat wyobraźni, fantastyka, koloryzowanie, uczucie, stają się głównym podłożem twórczości muzycznej w tym okresie.

Największy z romantyków, stanowiący epokę sam dla siebie, **Chopin,** wprawdzie nie napisał żadnego utworu o tytule morskim, jednak jego pobyt na Majorce bez wątpienia tak wpłynął na psychikę Chopina, że pośrednio morze nadało charakter powstałym wówczas jego kompozycjom. Pisał o tym sam Chopin w listach z Majorki. Np. „Człowieka przenika poetyckie uczucie, które zdaje się emanować ze wszystkich otaczających przedmiotów... Jestem zupełnie bliski tego, co jest najpiękniejszym na świecie... Stałem się lepszym człowiekiem... Niebo (tu) jak turkus, morze jak lazur...".

Mazurek e-moll powstał właśnie w takim nastroju. Między „skałami i morzem" wykończył też Chopin preludia, które „rodziły się w godzinach słońca i zdrowia, przy wesołych hałasach bawiącej się pod oknami dziatwy, przy dalekich dźwiękach gitary, lub śpiewu ptaków w zielonej gęstwinie" (George Sand). W podobnych warunkach wykończył Chopin balladę F-dur, polonezy A-dur i cis-moll, scherzo cis-moll.



Sekstans — przyrząd do określania pozycji statku na morzu

Wielki talent **Ryszarda Wagnera** wykorzystał legendę o tułającym się po morzach żeglarzu. Przy tym, niebezpieczna podróż Wagnera z Rygi do Paryża (w 1838 r.) i burza na morzu, która skłoniła wówczas kapitana statku do szukania schronienia w jednym z portów norweskich, silnie podziałały na Wagnera, przyczyniając się bezpośrednio do napisania przez niego opery „Holender tułacz". Wagner wykorzystał w tym dziele przeżycia, doznane podczas podróży. Muzyką swą zilustrował nie tylko stany psychiczne osób, biorących udział w akcji ale także po mistrzowsku oddał potęgę żywiołu morskiego.

Feliks Mendelssohn przeżył urok podróży morskiej do Szkocji i wysp Hebrydzkich. Wrażenia swoje odtworzył w symfonii „Szkockiej" i w uwerturze koncertowej „Hebrydy". Uwertura ta należy do najpiękniejszych utworów muzyki romantycznej. Drugi w niej temat ilustruje przypływ i odpływ morza; w części środkowej, zjawia się ilustracja burzy, zakończona wypogodzeniem się nieba. Mimo wyraźnych zalet kompozytor krytycznie ocenił ilustracyjną wartość tego utworu, pisząc w swych listach: ...„Środkowa część w D-dur forte jest bardzo głupia i całe tak zwane przetworzenie pachnie więcej kontrapunktem, niż tranem i mewami, choć powinno być odwrotnie".

Podobnego pokroju są uwertury „Cisza morska i szczęśliwa podróż" oraz „Piękna Meluzyna", operująca motywami, ilustrującymi falowanie wód. I ta kompozycja również została przez Mendelssohna potraktowana krytycznie: „Co gazeta muzyczna bredzi, o czerwonych kolorach i zielonych potworach morskich, o zaczarowanych zamkach i głębokich morzach" — pisał — „to niebieskie migdałki"... („Listy" II-116 str.). Mimo tej surowej samooceny, trzeba nam dziś stwierdzić, że muzyka Mendelssohna wcale barwnie odmalowuje krajobraz morski.

Edward Grieg, norweski kompozytor, mówił: „Bach i Beethoven zbudowali kościoły i świątynie na górach. Ja pragnę zbudować siedziby dla ludzi, w których każdy czuć się będzie swojsko i szczęśliwie". Opierał się on przy tym na ludowej pieśni norweskiej, „niewyczerpanej emanacji nordyckiej duszy ludu". Słuchając muzyki Griega do dramatu Ibsena „Peer Gynt", w pierwszej części, zatytułowanej „Nastrój poranny", słuchacz—jakże sugestywnie!—odnosi wrażenie, że stoi nad norweskim fiordem i podziwia tańczące blaski słoneczne (oddane za pomocą trylerów fletowych), rzucone na zwierciadło wody.

W drugiej suicie do tegoż samego dramatu, w scenie „Burzliwy wieczór na wybrzeżu" żywioł morski posiada nader plastyczny wyraz w instrumentacji i fakturze linearnej.

„La mer" **Debussyego,** składające się z trzech ogniw, obrazów impresjonistycznych: „Od świtu do południa nad morzem", „Igraszka fal", „Rozmowa wiatru z morzem", odznacza się bogactwem kolorytu muzycznego, barwy harmonicznej i pejzażu muzycznego. Debussy wzgardził tu melodią i formą sonatową, jako bezdusznym schematem. Wzgardził romantyczną muzyką serca, zastępując ją wysubtelnioną „muzyką nerwów". Impresje dźwiękowe, wzorowane na ówczesnym malarstwie, barwa dźwięku, dyssonans, nastrojowość, minimum komplikacji polifonicznych, uprzywilejowanie homofonii, to środki, którymi posłużył się Debussy, aby odmalować treść morskiego poematu.

Tematyką morską posłużył się również **Jerzy Bizet** w operze „Poławiacze pereł". Z Anglików, awangardzista **Ralph Vaughan Williams,** napisał: „A Sea-Symphony", z przewagą pierwiastka ludowego, utwór śmiały w eksperymencie harmonicznym.

Z polskich kompozytorów, którzy wyraźnie sięgnęli do tematyki morskiej, wymienić należy **Stanisława Moniuszkę,** który w „Sonetach Krymskich" do słów Mickiewicza zilustrował „Ciszę morską", „Żeglugę", „Burzę morską" i „Ajudah". Symfoniczne „Szkice morskie" **Tadeusza Joteyki,** opera pt. „Legenda Bałtyku", oraz „Śpiewnik morski" **Feliksa Nowowiejskiego, Grzegorza Fitelberga** poemat symfoniczny „W głębi morza", oratorium „Morze" **Stanisława Kazury,** czy też efektowna „Burza morska" **Wallek - Walewskiego** oprócz wielu innych utworów jak np. liczne pieśni przedwcześnie zmarłego kompozytora śląskiego **Władysława Macury,** stanowią wcale bogaty dorobek polskiej twórczości muzycznej, opartej w tematyce na wiecznie pięknym i zawsze jednako tajemnym morzu.

Współczesne życie i nasz szeroki dostęp do brzegów Bałtyku na pewno natchną wielu naszych kompozytorów, którzy opiewając w twórczości swojej piękno i potęgę morza, jednocześnie przypominać będą narodowi polskiemu obowiązek stania na straży u „szmaragdowych wrót".

STANISŁAWA FLESZAROWA

Drzwi horyzontu

Syreny statków
pieśń jak żagiel nad portem rozpięły.
Wysokie „c" triumfu.
Znów płynie oddech pracy przez otwarte płuca.
Na redzie statki wieńcem:
Na wejściu!
Na wyjściu!
Morze przez burtę brzegu
Cały świat przerzuca.

Port ramionami dźwigów
(prężą się, jak żywe pod pieszczotą ciężarów)
krajowi podaje
czyjąś przyjaźń daleką, tak bliską, tak ciepłą,
że się dłoni uściskiem serdecznym wydaje.

Mewy w rozterce: niebo i morze błękitne —
łączą je, plączą razem białym swoim lotem.

Morze i niebo: — błękit!
Ale brzeg jest — czarny.
Czarne są ręce, twardo zespolone z młotem.

Tym rękom
i tej doli młotów i zwycięstwa
syreny pieśń śpiewają.
Tym rękom bandera
(wolności kwiat u masztu w rumieńcu słonecznym)
świat jak drzwi horyzontu
na oścież otwiera.

EDWARD MARTUSZEWSKI

Remus — kaszubski don Quijote

I

W bieżącym roku mija dziesięć lat od chwili, gdy drukarnia Adolfa Spletta w Kartuzach wypuściła w świat (wydaną nakładem autora) pierwszą część powieści Aleksandra Majkowskiego: „Żecé i przigode Remusa". Utwór ten, owoc kilkunastoletniej pracy, uznany został nie tylko za najlepszy w dorobku pisarskim Majkowskiego, lecz także i **za arcydzieło regionalnej literatury kaszubskiej.**

Nazwisko autora jest w Polsce znane. Najgłośniejsze wśród pisarzy i działaczy kaszubskich. Jest to jednak — że się tak wyrażę — sława „na słowo honoru". Sądzę bowiem, że rzadko kto przeczytał choćby tylko wspomniane wyżej „Życie i przygody Remusa". A szkoda. W istocie warto zapoznać się bliżej z tą książką. Są wprawdzie pewne trudności: — gwara kaszubska jest jeszcze mało w Polsce znana. Ale wystarczy się dobrze wczytać, by lektura tej książki Majkowskiego stała się tak łatwą, jak utworów, pisanych np. przez Tetmajera gwarą podhalańską.

Powieść o Remusie ujęta jest w formę pamiętnika. Już pierwszy rozdział zarysowuje sylwetkę duchową bohatera, sugestywnie narzucając czytelnikowi porównanie z nieśmiertelnym rycerzem z la Mancha — don Quijote. Obaj: kaszubski, wędrowny sprzedawca książek i hiszpański błędny hidalgo — są pośmiewiskiem ludzi, nie rozumiejących ich „skażonej gadki".

Sieroce dzieciństwo spędził Remus na Lipskich Pustkach w okolicach Wdzydzkiego jeziora (na południe od Kościerzyny), jako pastuch u „gbura" Zabłockiego. Leżące w pobliżu ruiny starego zamczyska, wywarły na umysł chłopca głębokie wrażenie. Śniło mu się po nocach i na jawie o królewnach, wzywających pomocy, o upiorach, zapadłym zamku i innych cudach, mimo że za swe wyprawy do ruin obrywał często po skórze. Bujna również fantazja, podniecona nauką religii u księdza, kazała mu w rezultacie stoczyć walkę z żandarmem pruskim, który przeprowadził rewizję w domu Zabłockiego. Kamień z procy Dawida-Remusa powala wtedy na ziemię Goliata-żandarma, lecz ranny zwycięzca musi przez dni kilka kryć się przed poszukiwaniami władz.

W jakiś czas potem dowiedział się Remus, że żandarm pruski nie bez powodu znalazł się w domu „gbura" Zabłockiego. Szukał on mianowicie brata gospodarza — Józefa, powstańca z 1846—48 roku, który wrócił niedawno z tułaczki z myślą, by „kości jego mogły spocząć w ziemi ojców". Ten to właśnie Józef Zabłocki pouczył wkrótce Remusa **o walce Ormuzda z Arymanem o duszę ludu kaszubskiego.** Ziarno padło na podatną glebę.

Pod wpływem rozmów z weteranem-powstańcem Remus rzuca służbę u „gbura". Chodząc odtąd od wsi do wsi, od miasta do miasta, sprzedaje książki, wydawane w gwarze kaszubskiej. Czuje grozę niebezpieczeństwa, które zawisło nad Kaszubszczyzną. Lecz uświadomienie jego w tych sprawach jest jeszcze na razie niezupełnie skrystalizowane. Wkrótce jednak nadchodzi moment głębokiej refleksji i decyzji, który będzie miał wielki wpływ na dalsze kształtowanie się życia Remusa.

W jednym z dworów rzuca Remus oskarżenie zdrady ludu kaszubskiego pod adresem szlachty, odsprzedającej swe majątki. Niemcom za pośrednictwem adwokata Czernika. Pod postacią tego chytrego prawnika występuje zły duch Kaszubszczyzny: — diabeł Smętek. Walka z nim, będąca trzonem tematycznym powieści, jest niezwykle trudna: — Smętek-Czernik jest przebiegły, udaje niewinnego i stara się sprowadzić Remusa z obranej przez niego drogi, świadcząc mu przysługi, wypływające rzekomo z przyjaźni.

W wędrówkach po ziemi kaszubskiej często towarzyszy Remusowi muzykant, nazwiskiem Trąba, wierny druh, choć pijaczyna tchórzem podszyty. Idąc z nim razu pewnego na odpust do Wejherowa, zaprzyjaźnia się Remus z „królem jeziora" Wdzydzkiego — Zaborskim, który podobnie jak Zabłocki, ukrywa się przed policją niemiecką za czynny udział w powstaniu 1848 roku.

Ponieważ w książkach Remusa znalazły się i opowiadania „wrogie państwu pruskiemu", zostały one skonfiskowane przez kościerskich żandarmów. Remusa za stawienie oporu i poturbowanie żandarma pakują do więzienia. Do tego samego więzienia dostaje się wkrótce i „król jeziora" — Zaborski, który przed śmiercią przekazuje tu Remusowi swą kryjówkę na wyspie jeziora Wdzydzkiego — wygodny schron pod powierzchnią ziemi, o dobrze ukrytym wejściu. Równocześnie „król jeziora" oddaje mu w duchowe dziedzictwo ryngraf z Matką Boską, polecając kontynuować misję, którą Zaborski podjął jako najistotniejszy cel swego życia. **Misją tą ma być walka o lud kaszubski, któremu grozi zagłada ze strony niemczyzny,** wspomaganej przez wszystko-wiedzącego i wszędzie-obecnego Smętka-Czernika.

Świadomy wyższych celów, po uwolnieniu z więzienia (dzięki amnestii, wydanej w związku z wojną francusko-pruską w 1870 r.), i zrezygnowaniu z ręki córki Zaborskiego, przeznaczonej mu za żonę, wyrusza Remus w długą podróż po ziemi kaszubskiej. Zwiedza Gdańsk, w kościele oliwskim modli się za dusze książąt pomorskich, odwiedza Puck. Przepłynąwszy jezioro Żarnowieckie, wkracza na tereny zamieszkałe przez zniemczonych Kaszubów i Słowińców. Szuka ostatnich śladów polskości tych ziem.

Wizyta u „ostatniego Kaszuby", pana na Sorbsku, obfitująca w symboliczne momenty, wywiera duży wpływ na umysł Remusa, który dochodzi w końcu do wniosku, że „ma w sobie ducha rycerza Witosława". Skłonność do poddawania się majakom fantazji, wywiera znów zgubny, obezwładniający wpływ na Remusa: — absorbuje go, osłabia jego postawę bojową.

Podobnie jak pobyt u pana na Sorbsku, symboliczne znaczenie posiada także strata taczki z książkami podczas burzy morskiej, która dała się dotkliwie we znaki również i na błotach łebskich. Wracając do domu, widzi Remus jak piorun zapala ostatni kościół kaszubski na ziemi lęborskiej w Główczycach. To znowu sprawka Smętka-Czernika. W walce z nim ginie wierny druh bohatera, muzykant Trąba. Wkrótce potem żenią go ludzie z wdową po przyjacielu-muzykancie. Remus ulega, lecz już po kilku dniach ucieka na wyspę jeziora, gdzie przeżywa szczęśliwe tygodnie z panną Klemą, dziedziczką wsi Zabory. Niestety sielanka szybko się kończy. Straszliwa burza niszczy ich kryjówkę na wyspie. Remus znowu wyrusza w świat. Musi.

W świętojańską noc, na górze Łysce **dochodzi do nieuchronnego, zdawna odwlekanego starcia między nim, a Smętkiem — władzą nad ludem kaszubskim.** Zwycięża Smętek, gdyż Remus posiada wprawdzie Wiedzę i Siłę, lecz **brak mu Wiary, zniszczonej obezwładniającymi urojeniami nieokiełznanej fantazji.**

Ostatnie dni swego żywota poświęca Remus dzieciom. Stara się obudzić w nich tę wiarę, której zabrakło mu w chwili walnej rozprawy ze Smętkiem. Niedługo potem, osłaniając bawiące się dzieci, ginie pod kopytami rozbieganych koni. I znowu symbole. Konie były przyprzężone do wozu, którym jechał Smętek-Czernik. W parę dni potem znaleźli ludzie zwłoki Czernika porażonego piorunem. **Zginął Smętek w jednej postaci, aby powstać z czasem w innej, niemniej wrogiej kaszubskiemu ludowi — zdecydowanie niemieckiej. Walka z nim trwa. Dowiodła tego ostatnia wojna.**

O grób „Remusa, rycerza kaszubskiego" troszczy się Klema Zaborska, która często przychodzi na cmentarz z ich synkiem, by pomodlić się za duszę ukochanego. Walkę ze Smętkiem kontynuować jednak będzie nie syn Remusa, lecz autor powieści, który na pytania: „Chcesz wybawić zapadły zamek?" „Chcesz przenieść przez wodę uśpioną królewnę?" — odpowiedział: **„Chcę!"**

II

Całość powieści ocenić można należycie jedynie po jej przeczytaniu, lecz już to pobieżne streszczenie umożliwi czytelnikowi ogólną orientację. Misternie wplecione symbole należą do najważniejszych momentów utworu. Wartość jego podnoszą poza tym piękne opisy krajobrazu kaszubskiego oraz sceny ludowe, często humorystyczne, stanowiące tło romantycznej fabuły.

Znany współczesny poeta kaszubski, Franciszek Sędzicki (wiersz jego pod tytułem „Nasza mowa" zamieszczony był w pierwszym numerze „Wiatru od Morza") znał osobiście człowieka, który stał się w pewnym stopniu prototypem bohatera z powieści Majkowskiego. Wędrowny sprzedawca książek, często zakazanych przez władze, nazywał się również Remus. Miał być on nawet fizycznie podobny do postaci przedstawionej przez Majkowskiego. Lecz na tym kończy się analogia. Remus z powieści miał w sobie duszę i serce swego twórcy, syna tej ziemi, Aleksandra Majkowskiego, urodzonego w Kościerzynie w 1876 r. Z zawodu był Majkowski lekarzem, podobnie jak pierwszy działacz kaszubski XIX-ego wieku Florian Ceynowa.

Poemat epiczny: „Jak w Koscerznje koscelnigo wobrele" (1899 r.), zbiorek poezji „Spiewe i frantówci", „Historia Kaszubów i Pomorzan" oraz tłumaczenia niektórych wierszy Horacego w gwarze kaszubskiej, to, obok powieści o Remusie, najważniejsze pozycje dorobku Majkowskiego. W 1906 r. wydawał on jako dodatek do „Gazety Gdańskiej", pisaną po kaszubsku „Drużbę", w latach zaś 1909—12, 1921—22 i 1925 czasopismo pod tytułem „Gryf". Jako przywódca ruchu młodokaszubskiego rzucił hasło: **„co kaszubskie to polskie".** Zmarł w Gdyni 10 lutego 1938 roku.

„Zrzesz Kaszebsko", pismo wokół którego skupili się obecnie po drugiej wojnie światowej działacze kaszubscy, drukuje właśnie urywkami „Żecé i przigode Remusa. Zwjercadło kaszubskji". W jednym z jego numerów czytamy: **„Dziś żyjemy jego (t. zn. Majkowskiego) spuścizną, jego myślą. Jego duch towarzyszy nam w naszej pracy nad ludem i dla ludu kaszubskiego. Stawiamy go w jednym rzędzie obok Barnimów, Wartysławów, Bogusławów, Świętopełków, Mestwinów i Ceynowy".**

III

„Gdy czujemy się wyższymi od rzeczy i spraw, które nas otaczają, a konieczność i potrzeba wiąże nas z nimi, umysł nasz koncentruje się na jakimś intymnym ideale. Tak, godzimy się z rzeczywistością, przyjmujemy życie takim, jakim się ono nam przedstawia. Lecz to pogodzenie się zyskuje równoważnik w snie wewnętrznym." **(Azorin: „Una hora en Espana").**

Obok Sancho Panzy staje don Quijote.

Czy wiecie kto to jest don Quijote? Nazywacie go zazwyczaj don Kichot, albo co gorsze don Kiszot. Podobnie jak o „Żecé i przigode Remusa" mówi się o „Don Quijote", nie przeczytawszy tej książki Cervantesa, choć nie jest to wielkim trudem. Niejedna współczesna powieść, jak np. „Przeminęło z wiatrem" pióra Margaret Mitchell jest znacznie dłuższa, lecz ta długość czytelników nie odstrasza. Nie ma odważnych, jeśli chodzi o arcydzieło Cervantesa! Może dlatego, że prawda w oczy kłuje, dlatego, że można przejrzeć się w nim, jak w zwierciadle, co nie zawsze pochlebia miłości własnej.

Znamy don Kiszota walczącego z wiatrakami, wzdychającego do Dulcynei, śmiesznego poszukiwacza guzów, a nie znamy don Quijote, rycerza o smutnym obliczu, wierzącego w swą misję, pełnego szlachetnych pragnień, które sam wypacza w momencie realizacji. „Gdy czujemy się wyższymi od rzeczy i spraw, które nas otaczają" — stajemy się don Quijote'ami. „Gdy zgadzamy się z rzeczywistością i przyjmujemy życie takim, jakim się nam ono przedstawia" — jesteśmy Sancho Panzami.

Zarówno pojęcie tragizmu jak i komizmu są pojęciami względnymi, związanymi intymnie z najgłębszą istotą stworzenia, które nazywa siebie homo sapiens. Tragizm i komizm są jedynie pozornymi przeciwieństwami: don Quijote — Sancho Panza. W istocie są one swoiście dwojakim ustosunkowaniem się do tej samej rzeczywistości, w której się żyje. Tak don Quijote, jak i jego giermek, są komicznymi przez to, że nie zdają sobie sprawy ze swego tragicznego położenia, tragicznymi zaś, że nie spostrzegają komizmu swego ustosunkowania się do spraw tego świata. Czyż bowiem pocieszny, a pewny swej mądrości życiowej Sancho nie jest w gruncie rzeczy jedynie — człowiekiem? Takim samym biednym homo, jak jego pan walczący z wiatrakami. Obaj wydają się nam śmieszni, komiczni, będąc zarazem postaciami tragedii ludzkiej.

Czyż w każdym z nas nie ma don Quijote i Sancho Panzy? Kto z nas nie naśladuje ich w swym życiu? Przeczytajcie uważnie powieść Cervantesa, a zauważycie, że występujecie w niej bądź to pod postacią tłustego giermka, tworzącego „mądre przysłowia" z połączenia dwóch połówek różnych prawdziwych przysłów, bądź też pod postacią mężnego rycerza z miednicą golarza na głowie, to jest — przepraszam — ze zdobycznym hełmem Mambrina.

Ibeas w swej książce „Espana y América" twierdzi, że „w „Don Quijote" każdy widzi to, co mu się podoba, według na stawień (dyspozicjones) swego umysłu". Znany współczesny pisarz hiszpański Unamuno żąda interpretowania dzieła Cervantesa tak, jak się wykłada Pismo Święte.

Co może łączyć Remusa, biednego sprzedawcę książek kaszubskich z rycerzem o smutnym obliczu, szukającym bohaterskich przygód? Remus walczy ze Smętkiem, nie zaś z wiatrakami. Jego przeżycia miłosne mają również całkiem inny charakter niż u kochanka Dulcynei. Jednakże mimo tych i wielu innych różnic możemy nazwać Remusa kaszubskim don Quijotem — ale nie don Kiszotem.

Pokrewieństwo ich nie leży w zewnętrznych podobieństwach, w analogii ich przygód. To mniej ważne. Decyduje coś innego: — **wewnętrzne nastawienie się do spraw życia, odwrócenie się od materialistycznego podejścia do zagadnień bytu, podporządkowanie się ideałom, nałożenie na siebie obowiązku osiągnięcia celów wielkich, nie dbając o własny zysk, przeciwnie, z ograniczeniem szczęścia osobistego.**

To, że dla Remusa bodźcem jest fantazja i uczucie przywiązania do kraju rodzinnego, dla don Quijote zaś refleksje i rozważania intelektualne, nie odsuwa ich od siebie, lecz właśnie zbliża. **Skłonność do pięknych, lecz nieproduktywnych marzeń u Remusa, skłonność do szlachetnego filozofowania w oderwaniu od potrzeb życia u don Quijote — paraliżują ich życie aktywne, stają się powodem ich tragicznej klęski.**

Muzykanta Trąbę z powieści Majkowskiego nie można nazwać kaszubskim Sancho Panzą. Nie jest on przeciwieństwem a zarazem uzupełnieniem Remusa. Rola jego w powieści jest zbyt fragmentaryczna i niezwiązana organicznie z rolą głównego jej bohatera. Dlatego też nie jest możliwe przeprowadzenie całkowitej analogii między arcydziełem Cervantesa a „Żecé i przigode Remusa".

Nie w tym jednak leży istota rzeczy. Faktem pozostaje, że tragiczna dusza Remusa jest bardzo bliską duszy don Quijote, gdyż obaj żyją w świecie ideałów, a niezadowoleni z tego, **co jest** — dążą do urzeczywistnienia swych pragnień, uniemożliwiając sobie zarazem osiągnięcie wytyczonych celów przez naiwnie nieżyciowe, choć szlachetne podejście do sprawy.

Obie te postacie stworzone zostały w celach dydaktycznych. Cervantes chciał satyrą zwalczyć Amadisów gallijskich i innych Palmerinów, którzy rozpanoszyli się w literaturze hiszpańskiej XVI-ego wieku, podobnie jak różne „Trędowate" w literaturze polskiej ostatnich kilkudziesięciu lat.

Majkowski pragnął, aby powieść o Remusie przyczyniła się do zwycięstwa w walce o lud kaszubski z zalewem niemczyzny. Obaj pisarze dali więcej niż początkowo zamierzali: — wierny, wyrazisty wizerunek stworzenia, które samo siebie nazywa — „homo sapiens".

KAZIMIERZ ORTHWEIN

Michał Leszczyński — plastyk morza



„Jak rysować żagle i morze“ („How to draw Sail & Sea“), taki tytuł wybrał oficer polskiej marynarki handlowej i żeglarz, Michał Leszczyński dla swej książki, wydanej w dwóch nakładach w 1944 i 1945 roku przez „The Studio Limited“ w Londynie i „The Studio Publications Inc.“ w Nowym Jorku.

Książka ta, właściwie 63-stronicowa książeczka, ilustrowana rysunkami autora, posiada niewątpliwie dużą wartość. Niespotykana w bibliotekach (na pewno bardzo niewiele jej egzemplarzy znajduje się w Polsce) zasługuje na szersze omówienie, należne również i jej autorowi — **jednemu z najlepszych, a może najlepszemu dotąd polskiemu malarzowi-maryniście.**

Po raz pierwszy miałem możność zetknąć się z pracami malarskimi Leszczyńskiego w 1932-gim roku. Była to seria akwarel z Saigonu. Impulsywny, bardzo wtedy jeszcze młody człowiek, tłumaczył mi z pasją rasowego artysty założenia i cele swej sztuki. Już wtedy zdawał sobie dokładnie sprawę z dwóch rzeczy: z własnego dyletantyzmu oraz z ogromu trudności, jakie miał do przezwyciężenia na drodze malarza-marynisty. Już wtedy orientował się, że nie wystarczy malowanie pejzaży, których tematem jest morze, że trzeba raczej, **aby morze było ich treścią.** Żywioł płynny i głęboka analiza zjawisk, rozgrywających się na morskiej powierzchni, stanowiły dla niego motywy walki o ich plastyczny wyraz i charakter w sztuce. Synteza dla tego artysty stała się dziś wykładnią świadomie obranego aspektu twórczego.

Niderlandczycy XVII-ego wieku, których sztuka wyrosła z rzemiosła i nigdy tego charakteru nie zatraciła, malowali ryby, krowy, psy, koty, czy też mariny. Ich specjalizacja była daleko posunięta, gdyż odbiorcy, również rzemieślnicy, kupcy, marynarze, znali gruntownie swój towar i żądali od artysty roboty ścisłej i fachowej. Taki Snyders malował psy, Floris van Schooten — obrazy pod nazwą „Śniadanie“, de Hemm — winogrona, orzechy i jabłka. Byli też specjaliści od okrętów „stojących“ lub w „biegu“, od statków na pełnym morzu, wśród sztormu i w cichych portach.

Drogą takiej specjalizacji doszli w końcu Niderlandczycy do wirtuozerii w ujęciu pewnych zjawisk, czy rzeczy — wirtuozerii niemożliwei do osiągnięcia przez innych. Szkoły marynistycznej, w sensie właściwym dla Niderlandczyków, nie wytworzyła żadna inna sztuka narodowa. Anglik Turner, potężny wizjoner morza, był raczej dramaturgiem, niż malarzem. Rosjanin Ajwazowski przez idealizację nastrojów szkodził realizmowi dzieła tylko Francuz Courbet w swej „Fali“, jednym z najsilniejszych osiągnięć malarstwa XIX wieku, dał dzieło na wskroś marynistyczne, przerastające pod wieloma względami osiągnięcia Niderlandczyków.

Jeśli narody o starej tradycji artystycznej i morskiej mogą się wykazać skromnymi liczbowo okazami prawdziwej marynistyki, nic dziwnego, że my ich nie posiadamy wcale. Liczny jest wprawdzie zastęp malarzy polskich, którzy obierali za motyw swych prac tematy związane z morzem, nigdy jednak morze nie stanowiło istotnej treści ich płócien. Władysław Ślewiński, posądzany dziś trochę niesłusznie o marynistyczną doskonałość, był raczej poszukiwaczem skojarzeń kolorystycznych.* Morze było dla niego zupełną abstrakcją, jak zresztą wszystkie inne tematyczne akcesoria obrazu. Ze znanych mi obrazów polskich jedynie „Wioślarze“ Felicjana Kowarskiego (płótno przeznaczone kiedyś na Olimpiadę w Amsterdamie) posiada, moim zdaniem, intensywne znamiona dzieła marynistycznego, a to na skutek przeprowadzenia wnikliwej analizy falującej powierzchni wody w łączności z burtą łodzi.

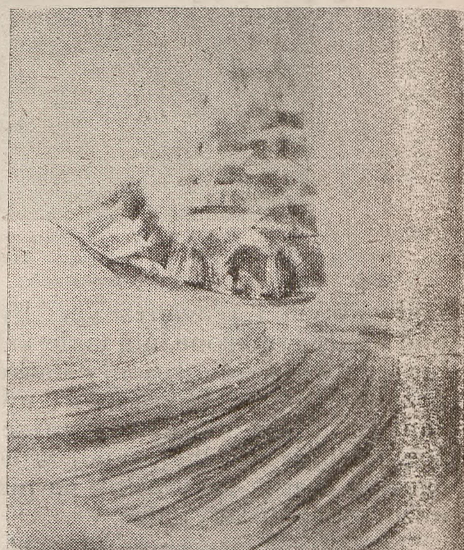
Zupełnie celowo rzuciłem tu na szalę parę nazwisk o światowym zasięgu, aby tym lepiej odważyć walory książeczki Leszczyńskiego: — z jednej strony, duże muzealne płótna o złożonej fakturze olejnej, z drugiej — małe jego rysuneczki wielkości karty pocztowej.

Celem tych rysunków jak i całej książeczki, napisanej świetnymi skrótami myślowymi, jest nauczenie laika-amatora rysowania morza i statków. Autor tłumaczy swym czytelnikom prosto i sugestywnie sposób rysowania statku, zwłaszcza żaglowego. Parę kresek, oddających ideę rzeczy rysowanej, stanowi według niego założenie fundamentalne. W poszukiwaniu właściwych kresek i linii zgłębiamy lepiej ideę plastyczną rysowanego przedmiotu.

Wystarczy rzucić okiem na parę mistrzowskich przykładów Leszczyńskiego, aby nie zwątpić, iż ma on w istocie jako plastyk — rację. Dla prawdziwego rozwinięcia się sugestii plastycznych konieczne jest zrozumienie zasad działania i form wielu szczegółów. Rysunek żaglowca, widzianego od strony nawietrznej, uzupełnia Leszczyński detalami, tłumaczącymi jak najdokładniej mechanizm działania gafla w styku z masztem, albo też takim detalem jak umiejscowienie bocznego światła na wantach.

Gdzie indziej pokazuje nam z największym pietyzmem opracowane szczegóły takielunku stałego i ruchomego, wyjaśniając jednocześnie ich sposób działania. Przez gruntowną analizę zasad działania poszczególnych partii osiąga Leszczyński pełny efekt dynamicznego funkcjonalizmu w całości. Jego sylwetki żaglowców, chwytane w najróżniejszych pozycjach i sytuacjach tak nieodparcie przenikają nas poczuciem prawdy, a co za tym idzie i piękna, że czujemy się wprowadzeni w jakiś odrębny świat wizualny — świat marynistycznej sztuki.

Przechodzenie od idei, zjawiska, lub rzeczy do ostatecznego sformułowania plastycznego stanowi w książce Leszczyńskiego — w odniesieniu do niektórych problemów — istotną rewelację. I tak np. przedstawienie powierzchni morza w sposób sferyczny oraz schemat ukształtowania fal są głęboko zastanawiającymi pomysłami. Wprawdzie w tej dziedzinie wiele obiecywali już przed kilkudziesięciu laty futuryści włoscy, jednak



nie wyszli oni z ram teorii na twardy gościniec ujęć plastycznych. Leszczyńskiemu udało się to zrealizować w pełni.

Rzecz prosta, iż rysunki zawarte w książce „Jak rysować żagle i morze“ nie pozwalają tu orzekać o artyście, lub wyznaczać mu miejsce w naszej plastyce. Są to raczej próbki talentu, poparte wielkim nakładem inteligencji artystycznej, koncentrującej się w strefie zjawisk, które Leszczyńskiego nieodparcie fascynują. Ten marynarz-artysta jest w obecnej chwili pionierem polskiej marynistyki, realizowanej metodami z jednej strony starych Niderlandczyków, z drugiej zaś strony niezupełnie wolnej od wpływów Turnera. Wszystko jednak zdaje się świadczyć o tym, że Leszczyński kroczy własną drogą artystycznego rozwoju, na której autentyczny talent wiąże się szczęśliwie z poważnym ujęciem problematyki twórczej.

Dajemy tu wyraz nadziei, że niebawem zapoznamy się w kraju z większymi pracami tego artysty — w oryginale.

* Por. Władysław Lam: „Morze jako temat malarski“ w drugim numerze „Wiatru od Morza“

EDWARD FISZER

Spotkanie z żeglarzem

— Z jakiej odbiłeś przystani? Jakżeś ty do nas trafił,
Pielgrzymujący po wodach, wyznawco geografii?

Czy z morza gwiazd południowych wytrwałe niosło cię czółno
I celnym dziobem wskazało zielono-białą północ?

Lub jeszcze z ludem fenickim, w łodziach cenniejszej zdobyczy,
Płynąłeś — z głębin szmaragdu jantar wyłowić i zliczyć?

Czy wojowniczą załogą brzegi-ś — w pożogę rozpalił,
Przydając koniom z pokładu grzywy zbełtanej fali?

Huczało w sztormach o tobie: o stopie niezmytej z plaży...
Po twoich śladach samotnych żeglują sny marynarzy.

Słyszysz, jak wiatry podróżne budzą w zatoce niepokój?
Słońce — najwyższa latarnia ściąga żaglowce obłoków.

A ty, chłopaka z pokładu — przez najstarszego szypra —
Na wielkie szlaki namawiasz, sterniku odkrywczych wypraw.

Z Państwowego Centrum Wychowania Morskiego

W związku z utworzeniem Państwowego Centrum Wychowania Morskiego w Gdyni dyrektorem tej instytucji z nominacji ministra Żeglugi i Handlu Zagranicznego został mianowany kpt. ż. w. Michał Leszczyński. Znajduje się on obecnie w drodze z Londynu do Gdyni. S/s „Poznań“ na którym kpt. Leszczyński odbywał podróż do Polski, znajduje się obecnie na mieliźnie na Morzu Północnym w okolicy ujścia Łaby, wskutek czego przyjazd jego uległ opóźnieniu.

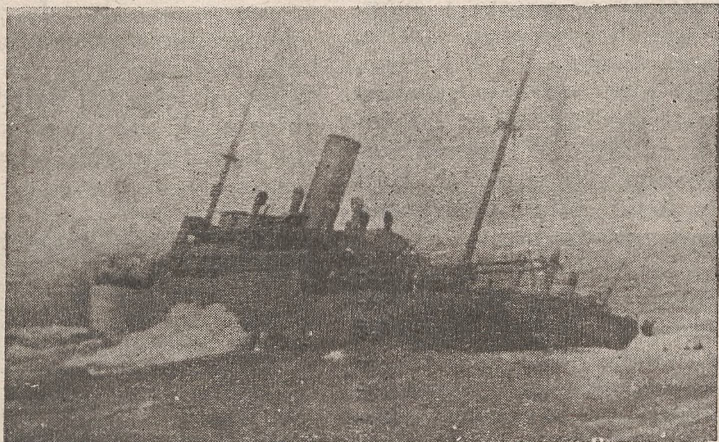
O kpt. M. Leszczyńskim, jako malarzu-maryniście, zamieszczamy obok artykuł K. Orthweina.

STANISŁAW MIODUSZEWSKI

MOMENT PSYCHOLOGICZNY

W roku 1943-4 Niemcy szczególnie zaciekle uwzięli się na angielską żeglugę kabotażową czyli tzw. „cousting". Nie mogąc opanować Atlantyku swym lotnictwem i łodziami podwodnymi, czyhali na konwoje u wybrzeży brytyjskich, by zablokować i wygłodzić Anglię.

Transporty transatlantyckie nadchodziły pod silną ochroną okrętów wojennych. Przy rozwoju taktyki i techniki walki z wrogiem



Trafiony torpedą

podwodnym i powietrznym były one lepiej strzeżone, niż małe i słabiej konwojowane zespoły statków przybrzeżnych. „Nierasowi", uważani za niższą klasę marynarze z żeglugi przybrzeżnej, mieli wtedy „gorące czasy" i wyrastali na pierwszorzędnych „wyjadaczy".

Nie płynęło się wprawdzie zbyt daleko od lądu. W pogodne dni widać było na horyzoncie zarysy wybrzeża. Dodawało to otuchy marynarzom. W razie rozbicia — były szanse na dopłynięcie do brzegu.

Jesteśmy na morzu w rejsie z Liverpoolu do Glasgow. Wiosna, słońce, pogoda, lekka bryza od lądu, mgliste poranki, rozjaśnienia w południe. Rankiem konwój rozciągnięty w dwurzędzie płynął między polami minowymi. Było trochę pochmurno. Popędzane wiatrem obłoki sunęły leniwie „na wysokim pułapie". Niekiedy poprzez przerwy w chmurach przeświecało słońce i widać było lazur nieba. Taka pogoda ułatwiała Niemcom atakowanie. Samoloty, ukryte w chmurach, wypadały z nich znienacka i ostrzeliwując statki z karabinów maszynowych, obrzucały je bombami. Nalotu spodziewano się w każdej chwili.

Załodze jednego z polskich statków, który płynął w konwoju, również udzieliło się ogólne podniecenie. A nuż tym razem uda się zestrzelić „szkopa".

Kapitan stale krążył koło karabinu maszynowego. Załoga krzątała się przy dziale. Nawet kucharz raz po raz wychodził z kuchni z olbrzymim nożem kuchennym w ręku i rozglądając się po niebie, wykrzykiwał: „Dawać mi tu Niemca — urżnę mu łeb razem z krawatem"!

Tymczasem na mostku oficer wachtowy i marynarz stojący na „oku" obserwowali niebo i powierzchnię morza. Mimo, że konwój płynął ustalonym przejściem pomiędzy polami minowymi, zdarzało się, że, czy to niemiecka, czy aliancka mina, zerwana przez sztorm, wałęsała się po morzu. Toteż dość często rozlegał się meldunek marynarza z „oka": — „Mina na kursie"! Wtedy na maszcie wywieszano odpowiedni sygnał dla ostrzeżenia innych statków, po czym statek robił zwrot i omijał pływającą minę.

Nagle zawarczały motory samolotów. Kapitan momentalnie znalazł się przy karabinie maszynowym. Oficer wachtowy zaalarmował załogę. Na odgłos dzwonka obsługa działa zajęła stanowisko bojowe.

Dwa niemieckie bombowce wypadły zza chmur i zaatakowały konwój. Pierwszy z nich ostrzelał z karabinów maszynowych płynącego na przodzie Holendra, wzniecając pożar na jego pokładzie. Drugi bombowiec, zauważywszy widocznie wywieszoną flagę polską na gaflu, zrobił ostry skręt i ruszył ku niej. Działko na dziobie oddało strzał.

Maleńki obłoczek dymu wykwitł przed samolotem. Strzał był celny, lecz „za krótki". Pocisk nastawiony na pewną odległość wybuchnął za wcześnie. Należało więc wyczekać, aż samolot zbliży się do widocznego miejsca wybuchu i — mając następny pocisk nastawiony na tę samą odległość — oddać następny strzał z dużą szansą trafienia.

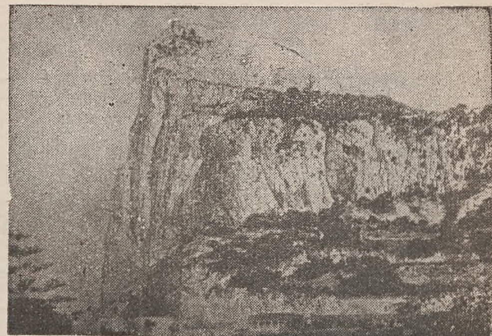
Ale działo zacięło się. Pęknięta łuska nie chciała wyjść z lufy, mimo że obsługa z całych sił szarpała zamkiem. Należało łuskę wybijać wyciorem z drugiej strony lufy. Na to jednak nie było czasu. Zresztą byłoby to dla przeciwnika znakiem, że działo nie jest w porządku. Korzystając z chwilowej bezbronności statku, zatopiłby go bez trudu.

Wszystko to obsługa działa pojęła w ułamkach sekundy i bez jednego słowa porozumienia wybrała inną taktykę: — **postanowiono „wykiwać", nastraszyć Niemca, udać, że działo jest w najlepszym porządku, że obsługa czeka jedynie tylko na właściwy moment, aby oddać następny, skuteczny strzał.** Celowniczowie kręcili korbami, celując niezaładowanym działem w nadlatujący samolot. Reszta załogi, groźnie wpatrzona w Niemca, poruszała ustami, jak w modlitwie. Była to „modlitwa" marynarska, która Niemcowi - pilotowi „rozstawiała rodzinę po kątach"...

Przeciwnik na ogół orientował się w sytuacji. Wiedział, czym pachnie zbliżenie się do złowieszczego obłoczka dymu, który wykwitł pomiędzy nim a zaatakowanym polskim statkiem. Nie wiedział oczywiście tylko jednego—że działo zacięło się i że statek jest tym samym bezbronny. Zbliżał się więc ostrożnie, zataczając lekkie łuki, by utrudnić celowanie.

Tymczasem obsługa działa doskonale zdawała sobie sprawę, jakie myśli przelatywały w tej chwili przez mózgownicę pilota. W takich momentach kontakt myślowy między przeciwnikami staje się niemal namacalny. „Może da się wyminąć pole obstrzału" — kombinował pilot. Ale obłoczek dymu leżał nieubłaganie na drodze do statku. „Może się zgorączkują i oddadzą strzał zbyt wcześnie" — musiało błysnąć w szwabskim mózgu. Wtedy jednym skokiem, z rykiem motoru i maszyną nachyloną w dół, runąłby na statek i zwolnił ładunek bomb, zanimby obsługa działa zdołała załadować i oddać następny strzał. Tak musiał chytrze a tchórzliwie kalkulować. Taka możliwość była marzeniem Niemca.

Ale obsługa działa — widział ją jak na dłoni — przywarta do celowników robiła wrażenie zupełnie pewnej siebie i opanowanej. Lufa działa kołysała się miarowo, śledząc każde odchylenie samolotu, niby głowa węża. Wydało mu się, że widzi w powietrzu linię, łączącą wylot lufy z kadłubem jego rozdygotanego samolotu — linię, po której z zupełną precyzją w odpowiedniej chwili pobiegnie śmiercionośny pocisk.



Skała Gibraltaru, niegdyś tzw. Słupy Herkulesa, była podczas drugiej wojny światowej jednym z najważniejszych punktów kluczowych morza Śródziemnego

I Niemiec się załamał. Zwyczajnie, po szwabsku i tchórzliwie — „nawalił". Nie dochodząc do smugi dymu po pierwszym wystrzale, skręcił nagle ostro w bok i jak sęp rzucił się na mały, samotnie płynący na uboczu stateczek. Zaskoczeni tym nagłym manewrem kanonierzy nie zdążyli oddać na czas strzału. Bombowiec ostrzelał ich z karabinów maszynowych i rzucił trzy bomby. Olbrzymi zwał wody nakrył zaatakowany statek. Zdawało się, że wchłonęło go morze. Ale gdy woda opadła, ukazał się nieuszkodzony i natychmiast otworzył ogień za oddalającym się samolotem.



Małpy gibraltarskie — najwierniejsze w Europie przedstawicielki rasizmu hitlerowskiego

Załoga polska u „zagwożdżonego" działa rzuciła się z wyciorem do lufy, by usunąć zacięcie. Ale ten pośpiech okazał się zbyteczny. Niemiecki samolot, wywijając się z obstrzału napadniętego stateczka, zawadził skrzydłem o linę balonu zaporowego wypuszczonego przez inny statek — szarpnął się, zawirował i runął w morze.

Drugi samolot uciekał tuż nad powierzchnią morza w kierunku Holandii. Na ogonie siedział mu jak krogulec na zającu — Spitfire, który spłynął nagle z pobliskiej chmury.

Konwój popłynął dalej w spokoju, w uporządkowanej kolumnie. Tylko na pokładzie zaatakowanego na początku Holendra dogaszano pożar. Na polskim statku marynarze czyścili działo i komentowali przebieg nalotu.

Trudno, tym razem nie zestrzelili samolotu — ale przynajmniej „wykiwali" szwaba i ocalili swoją łajbę. Udało się!

Zawdzięczają to niewątpliwie zimnej krwi, opanowaniu nerwów i zgraniu całej załogi. Są to najbardziej wartościowe cechy dobrych marynarzy.



Nasi żołnierze wracają na m/s „Sobieski" z zagranicy — Fot. E. Zdanowski

EUGENIUSZ CĘKALSKI

MY Z „GARLANDA"

Cechą charakterystyczną opowiadania, które za chwilę przeniesie myśl czytelnika na pokład O. R. P. „Garland" (jednego z najdzielniejszych polskich kontrtorpedowców w latach ostatniej wojny), jest niezwykłe zsynchronizowanie faktów z ich odtworzeniem w narracji. Opis niemieckiego ataku na konwój podczas rejsu do Rosji w maju 1942 r. jest utrzymany wiernie w ramach autentyku.

Bohater opowiadania, Paweł Grudka, obecny w tym czasie jako operator filmowy na pokładzie „Garlanda", przedstawia swoje przeżycia w sposób najzupełniej bezpośredni, żywy i plastyczny, bez jakichkolwiek upiększeń, uświęconych kanonami literackiego stylu. Nawet bez uwzględnienia zasad interpunkcji. Mimo to musimy przyznać, że jędrność, oryginalność, jako też artyzm spojrzenia i ogarnięcia całości — tętnią w tym opisie pełnią człowieczeństwa, odzwierciadlając w sposób celny mocną, wzruszającą prawdę morskiego życia w okresie walki z Niemcami.

W chwili obecnej, kiedy wiążemy nareszcie z rodakami nasze wspomnienia z lat wojny, obraz morsko-wojennych przeżyć na O. R. P. „Garland", aczkolwiek przybywa spóźniony, nie stracił jednak — jak to sam czytelnik osądzi — na swym ciężarze gatunkowym oraz interesującej aktualności. **(Przyp. Red.).**

Bo to było tak. Jechaliśmy pełnym gazem, kiedy widzę, że na konwój maszyny lecą i bomby rzucają. Wszedłem ja na reflektor — dobre miejsce, żeby na wszystkie strony zdejmować — blacha tam gruba taka wkoło mnie do pasa — a tu się z karabinem maszynowym kolega ustawia. Mówię do niego — idź stąd, Józef (kolega, był on jeszcze z „Błyskawicy") — zabierz te pukawkę — a on poczciwy nic nie gada — przeniósł się.

Z drugiej zaraz strony była siedemdziesiątka piątka, przeciwlotnicza. Szykuję ja się do zdjęć, a tu taka mgła od przeciwnej strony okrętu idzie — taka sobie mgła, może sto metrów szeroka, taki pas. Wyszli my z tej mgły, tak że teraz mgła między nami a konwojem. Ledwie my wyszli, a tu patrzę, maszyny na nas suną. Jedna, druga, trzy — pięć — niziutko, prosto na mnie.

Ledwie ja krzyknął: „atakują nas", a tu jak nie łupnie seria raz po raz, aż mnie na reflektor wetkało. Klatkę piersiową do środka mi wgniotło — i odłamki ci lecą jak cholera i czuję, że we mnie jak w sito — w głowę, w rękę, w bok. I nic nie boli, tylko w tym delikatnym miejscu, co pan wie. Tylko pierwsze myślę, że światłomierz zepsuty, bo wisiał na piersi. Chcę go wziąć, rękę z aparatem podnoszę — patrzę, a tu krew wszędzie — krew na twarzy — z czoła leci — krew na piersi czuję — mokro wszędzie, od wybuchu z por wylazła. Grzmocą ciągle i nasi strzelają. Patrzę ja w bok, a tu po pokładzie krew płynie — tu ręka leży — tam głowa, gnaty jakieś, masakra.

Chcę ja światłomierz wymacać, ale mi ręka nie idzie — nagle się sama w drugą stronę odchyla. Patrzę ja — z łokcia krew bucha, kości gołe sterczą. Wychylił ja się do tyłu — czuję, że już nie ustoję. Chcę jeszcze filmować, bo maszyna na nas idzie. Maszynę tę w wizjerze prowadzę. Krew mi jednak oczy zasłania. Wtem maszyna — buch do wody — zestrzelili sukinsyna! Ale już nie mogę — patrzę, gdzie aparat rzucić. Patrzę za siebie, kable tam takie — gumowe, grube leżeli, co to elektrykę z brzegu na okręt dają. Wypuścił ja delikatnie aparat na te kable i sam stać nie mogę. Krew się leje wszędzie — z ust, z nosa, z usz.

Przewracam się. Leżę ja, a tu jakiś do mnie skacze: — „toniemy" woła. I korek mi na głowę, przez tę dziurawą rękę pcha. Pasa ja na sobie nie miał — wisiał obok, przestrzelili go, powietrze uciekło. Gramolę ja się z tym korkiem na szyi — patrzę co jest: — para leci, bo kanał przeciekło. „Idź ty głupi, paniki nie rób!" — do niego wołam — „bo okręt prosto idzie, nie toniem, tylko para ucieka".

I zaczynam ja pomalutku iść do rufy. Dopiero wtedy zobaczyłem — iść ślisko, bo krew wszędzie i gnaty: — tu głowa, tam flaki. Dwie obsługi działa wybite. Jednemu obie nogi oberwało — jedna jeszcze wisi. Dwadzieścia minut żył, ale jeszcze przed śmiercią raz strzelił.

Posuwam się dalej — aż tu patrzę, kolega serdeczny leży, Władek, z nim przed samym nalotem w karty grałem, siedemnaście szylingów byłem winien, Niemcy grę przerwali. Nie zdążyłem mu oddać. Teraz on tu, trup, gęba krzywa. Pochylam się nad nim — moja krew na niego kapie. Poznaję go, strasznie mi się zrobiło — myślę sobie, te siedemnaście szylingów dam na cel. Już ja sobie taki specjalny cel umyślił.

Idę teraz na rufę — pod hydrostatyczne bomby. Tam już dużo takich jak ja leży. Lepiej tam, bo jak trafi, bomby pójdą. Ani się obejrzym, w kawałki rozerwie, w wodzie się męczyć nie trzeba. Więc pod temi bombami ja się położył — bo już nie mogę. Krew mi jedno oko zalała — leżę ja, zimno. Co oko prawe otworzę — w jedne stronę patrzę. Leżą koło mnie straszne pocharatane cielska, krew leci, widok opisać trudno.

Patrzę ja, jeden pół boku ma rozerwane, leży i nic nie stęka, tylko śpiewa. Słucham, co śpiewa — a on: **Umarł Maciek umarł i leży na desce — jakby mu zagrali zatańczyłby jeszcze...** I znowu: — **Umarł Maciek u....** i tak jakoś zaburczał to uuu — patrzę na niego, nie żyje.

W drugą stronę patrzę na morze. Niemiec statki atakuje. Że tego zdjąć nie można! Widzę, jak jednego handlowca trafił całą serią — amunicja musiała na nim być, bo błysnęło i dym poszedł, i prawie w 5 sekund statek był już w wodzie.

Przychodzi do mnie porucznik — nic mu nie było, a dobrze, bo już chłop swoją ranę w 1920 miał, pół tyłka ma wyrwane. Podchodzi więc do mnie ten porucznik, poznał, i mało nie zapłacze: — Pawełku! — woła — synku mój, nie umieraj! — i cofa się, tak się zląkł.

A ja do niego: — Panie (nawet już „po-

— powiadam (ledwie mówić mogłem). Więc mnie wziął do messy — tam pod stołem krew, nogi, ręce obcięte. Położyli mnie na stole, mundur porozcinali, sanitariusz mi gazę na nos pcha, chloroformem kapie.

Ale sam był ranny sanitariusz. Ręka mu się trzęsie w tę i we wtę, zamiast na nos na oczy mi i do ust leje. — Łamago! — do niego wołam — co robisz! — Nalało mi się do oka, do ust, piecze jak cholera. A co gorsze, wódka swoje robi. — Ani rusz nie chcę usnąć, tylko mi tak wesoło, że aż śpiewam. — Słyszę, inni się śmieją ze mnie. — Aż mnie złość zebrała — tu bomby lecą, trupy i śmierć wszędzie, a oni śmiać się chcą!

Brzydko wszystkich zrugałem — a tu się głos odzywa: — A, to Grudka! No, jak się wam zdjęcia udały?

Kapitan M.... to był, leżał z poszarpaną nogą, na operację czekał. — A to i pan kapitan tutaj? — powiadam. — Zdjęcia w porządku, najważniejsze, że pana Kapitana mam na zdjęciu. Bo go rzeczywiście poprzedniego dnia na Leicę złapałem, jak jabłko jadł, choć nic o tym nie wiedział. Sam ten moment jak gęba otwarta i jabłko wsuwa.

Ale doktor do mnie: — No co, panie Grudka, — co będzie? Ranni czekają, a pan

ruczniku" nie powiedziałem), chodź pan, pomóż. A on: — Co ci synku pomóc? — woła. — Wszystko ci przyniosę, co zechcesz. — A więc ja: — **kielicha!** — powiadam i taka chętka mnie na wiski zebrała, że aż.

Przyszedł, przyniósł, pełna szklanka wiski. Piję — gorąc taki po mnie idzie, dobrze się robi, ani nic nie boli. Pół szklanki wypiłem — chcę więcej, ale myślę sobie: — wypiję wszystko, to się zaleję, jeszcze głupstw narobię, rękę tę sobie oberwę, albo co, skakać zacznę i po pijanemu będę chciał aparat szukać i kręcić. Więcem się wstrzymał i tak w tej lewej ręce szklankę trzymam — patrzę, szkoda mi — innym bym dał, ale nie mogę. Wiski z krwią zmieszana, bo mi z gęby ciekło. Więc jak się nie zamachnę i ryms tą szklanką o żelazne łańcuchy. Szkło w kawałki poszło.

Lekarz był anioł, nie człowiek. Jak on w tem wszystkiem głowy nie stracił! Latał w tę i we wtę — tylko nogi i ręce, gdzie trzeba obcinał. Przychodzi do mnie: — A, pan Grudka! — powiada. — Co panu?

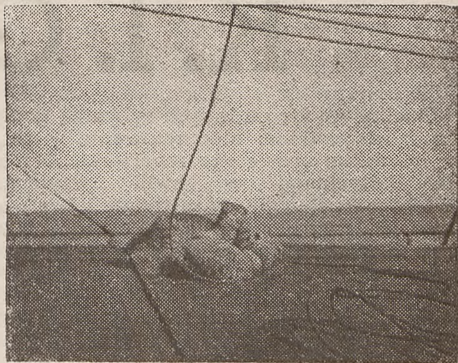
A ja na to tylko przez zęby: — Ręka pod chloroformem mi nie zasypia. Co mam robić?

— Rób pan, co trzeba — mówię — ale jakoś mi się słabiej robi i zasypiam.

Kość mi sterczącą obłamał, co trzeba zrobił. Wzięli mnie na pomieszczenie. Ale okręt cały dziurawy. Wszędzie te odłamki szły — i gdzie doleci, znowu wybucha — nowe jakieś bomby, czy co? Nad wodą jeszcze wybuchły, bo wcale pokładu wodą nie zalało.

Przyszedł chirurg, Anglik, bo go nam doktor na pomoc zawołał. Przyjechał z drugiego okrętu — na pokład wchodzi — patrzy: krew, gnaty, trupy — zemdlał. Ocucili go, wzięli do messy, żeby w amputacjach pomagał — wszedł. Patrzy, kadłub na stole, znów mięsa kawały, rzeźnia, bo nie było czasu sprzątać. Znowu wtedy zemdlał — potem tylko co mniej rannych opatrywał.

Ale obrona była fest — gdzie przy dziale pozabijani, zaraz inni przyszli, trupy wyrzucili, rannych odsunęli, sami dalej do Niemców strzelać. Atak trwał cztery godziny.



Kocia idylla na pokładzie

Potem to już spokojniej było, tylko stukasy nas męczyli. U nas dziur było ze dwieście — do niektórych pomieszczeń woda się dostała. Ale „Garland" — nie zatonął.

Kotkę my mieli taką i małe cztery kociaki miała. Postawili dla niej pudełko blaszane — nałożyli szmat, piasku. Kociaki były dwa bure, dwa szare — po trzy tygodnie stare, jak się nalot zaczął. Woda się tam dostała — pudełko pływać zaczęło. Wchodzą koledzy do pomieszczenia, a tu patrzą pudełko pływa, a kotka nic tylko cały czas pudełkiem balansuje, żeby się nie zatopiło. Jak pudełko zatonął — kotka małe w zębach pod piec zaniosła, bo mokre były. Bawił ja się z nimi potem na łóżku. Żyją kociaki, tylko jednego potem gdzieś w przejściu rozdeptali.

Przyjechali my do Murmańska, wzięli nas do szpitala. W tym Murmańsku to się już niektórym nerwy całkiem zepsuły. Sześć nalotów w dzień, cztery w nocy, bomby walą i szpital się trzęsie. Trzeba było widzieć, jak te kadłuby bez rąk i nóg z łóżek się zwlekali! Jak to po schodach pędziło na złamanie karku — jak bomby gwizdali.

Chłopak tam jeden był, Amerykan, 16-letni — bez rąk, bez nóg. Trzy tygodnie w life-boacie na Północy pływał, odmroził sobie, aż go sowieci wyłowili.

Chirurg był w tym szpitalu — pułkownik. Ten ani na chwilę pracować nie przestał — kraje nogi, ręce, brzuchy — Rosjan, naszych, Anglików, Amerykan. Co się zmęczy, to na chwilę na korytarz wyjdzie — tam już taki stał, co miał dla niego papierosa zapalonego. Dał mu raz — dwa pociągnąć i znowu doktor krajać idzie. — Ręce całe we krwi. A tu bomby lecą.

Jednego dnia patrzę — ręka mi się czarna robi i puchnie. — Gorączka 40,6 — trzy dni tak było. Aż ten pułkownik przychodzi, patrzy i — „niedobrze!" powiada — „rękę trzeba w łokciu obciąć".

Biorą mnie na stół — w nocy to było — nalot właśnie. Hotel, gdzie nasz doktor stał, trafiło. Więc w kalesonach do szpitala przyleciał, żeby się przespać. Przychodzi, a tu mu powiadają, że Grudkę będą amputować. Idzie na salę, powiada doktorowi (a dobrze się po rosyjsku nauczył): — Nie obcinaj pan, spróbuj, co ja radzę. Kość odsunąć, ranę rozerwać, niech ropa spłynie!

Narkozy mi dać nie mogą — gorączka taka, to bym nie wytrzymał. Więc doktor tylko się spojrzał: kazał siostrze za głowę mnie trzymać, noża wziął i rozcina. Ślepia jak mi z głowy wylazły, jakem się zerwał, tak siostra aż na szafę odleciała. Ładna była dziewczyna, przeprosiłem ja na drugi dzień, miała na imię Tamara. I powiadam: — Nie dam się za głowę trzymać — jak nie chcesz zastrzyku dać, to kraj.

I krajał. Ropy pociekło jak z garnka. Na drugi dzień gorączka 37,6 i nasz doktor przychodzi: — No, Grudka — powiada — ręka uratowana!

Z powrotem to nas Fokke-Wulfy prowadziły, no i submaryny nas atakowały.

Jak my przyjechali do Szkocji — mówię ja do kolegi: — Dawaj z portu na dobrą kolację skoczymy! — Ale tu sanitarka już stoi, za kołnierz nas i do szpitala. W szpitalu gips mi z ręki zdejmują. Anglik się dziwi — kto tak gips zakłada. Dwie godziny zbijali — ręka pod gipsem całkiem skręcona i z rany już nie ropa, a smoła cieknie. Jeszcze dwa dni, a znów by gangrena była.

Idziem potem z kolegą na stacji w Edynburgu, a tu patrzymy — dwóch naszych żołnierzy — kapral i sierżant. Kapral powiada: — Patrz, ci pewnie z „Garlanda!" — A sierżant: — E, pewnie się gdzieś sukinsyny po pijanemu pobili!

Jak mnie krew zalała, jak tą zdrową lewą ręką fangę mu w zęby dałem, na gębę upadł i ani się podniósł. A kapral, ani go ratuje, tylko do mnie podchodzi i pyta:

— To panowie z „Garlanda"?

— A z „Garlanda" — powiadam.

(„Nowa Polska")

ZBIGNIEW JASIŃSKI

Tatuaże

Ten smok błękitny na mej piersi
był ryty w Jokohamie —
kosztował mnie aż tysiąc jen,
niech skonam, jeśli kłamię!

Na plecach mam morskiego węża,
co splotem statki łamie —
widziałem go na własne oczy,
niech szczeznę, jeśli kłamię!

Tu zaś syrena, mój kundmanie,
na prawe spojrzyj ramię —
raz w cudną noc jej śpiew słyszałem,
szlag na mnie, jeśli kłamię!

Z fregaty, tej, na lewej ręce
(zostaw to między nami),
z całej załogi sam zostałem —
pchnij nożem, jeśli kłamię!

— A w sercu mam tatuowany
najlepszym chińskim tuszem
obraz dziewczyny ukochanej,
co mi wydarła duszę — —

EDMUND MISIOŁEK

K. I. Gałczyński wrócił do kraju

Odcinającą się od innych sylwetkę poety rozpoznało całkiem nieoczekiwanie w porcie gdyńskim bystre oko reporterki „Dziennika Bałtyckiego" w chwili przyjazdu s/s „Ragne". Równie niezawodnie i bez wahania wyłapywało się za okupacji jego wiersze w konspiracyjnych antologiach. Na wieczorach autorskich, urządzonych w Gdyni i Sopocie, Gałczyński odnalazł swój znany bezpośredni kontakt z publicznością, objawił swój taki sam jak przed wojną oryginalny styl recytacji.

W kontaktach i rozmowach indywidualnych okazał się jednak, prawdopodobnie wskutek wzruszeń powrotu, nad wyraz milkliwy i zamyślony. Co gorzej, wbrew sugestiom okolicznościowej wybrzeżnej fraszki, w niepokojącym stopniu oduczył się pić wódkę. Z niemałym trudem udało się wydobyć z Gałczyńskiego całkiem skąpe szczegóły o jego przeżyciach wojennych:

Czas wojny przebył jako jeniec w Stalagu XI-A Alten Grabow pod Magdeburgiem. Roboty. Przeciwko usiłowanemu przekształceniu go na robotnika cywilnego zgłosił pisemny protest. Znalazł się za to w kompanii karnej. Szpital i znowu na robotach. Wyzwoliło poetę wojsko amerykańskie w rejonie Magdeburga. Do listopada ub. r. przebywał w Niemczech, potem w Belgii i Francji. Belgię zastał prawie nie dotkniętą wojną, we Francji uderzył Gałczyńskiego osobliwy brak dynamiki gospodarczej.

Pisał Gałczyński w Alten Grabow, poza dziennikiem, wiersze i utwory dramatyczne. Wszystko, niestety, przepadło. Była wśród nich m. i. jednoaktówka w języku angielskim, utwór poetycki „Urojona Kantyna" (również w tł. ang.), do którego pisał ktoś muzykę.

Zapytywany o literaturę na emigracji, niezbyt dobrze zresztą mu znaną, wspomniał Gałczyński londyńską „Nową Polskę", miesięcznik o społeczno - demokratycznym nastawieniu; z poezji, nienajtęższej, najwyżej by stawiał Broniewskiego z dobrym tomikiem „Bagnet na broń" oraz Stanisława Balińskiego, poetę o formie również nie nowej, ale o dużej wadze emocjonalnej. Z pierwszych wrażeń literackich w kraju, bardzo mile zaskoczyło Gałczyńskiego swym poziomem studium Wyki o Czechowiczu w „Kamenie".

Co do planów na przyszłość, Gałczyński chce jakby nawiązać do przedwojennych poczynań. Jak wiadomo, oprócz wydanych przed wojną utworów: fantastycznej powieści buffo „Porfirion Osiołek, czyli klub świętokradców", poematów groteskowych „Koniec świata" i „Ludowa zabawa" oraz „Utworów poetyckich" z 1937 r. napisał Gałczyński scenariusz filmowy i kilka słuchowisk radiowych. Obecnie myśli poświęcić się komedii, chętnie muzycznej (libretta).

Jako poeta, K. I. Gałczyński wydaje się postacią dostatecznie znaną, aby trzeba było — mimo sześciu lat oddalenia — przypominać ją długo krajowi.

Poezja naszych dni stoi pod znakiem sporu, jaki wiodą ze sobą dwie zasady: dyscypliny artystycznej i społecznego rezonansu. Wymogi te nie są wzajemnie sprzeczne ze sobą, a przecież pierwszy rok wolnej znowu poezji polskiej nie objawił twórcy, który by w wielkim stylu obu zadośćuczynił. Powracająca dziś do kraju wybitna postać K. I. Gałczyńskiego poucza, że wysoka klasa poetycka może stawać się błogosławieństwem szerokiego kręgu słuchaczy i czytelników: że nawet, że właśnie dopiero b. dobra poezja może znowu być popularna. Co prawda, bywa też sprawą osobliwego poetyckiego przyrodzenia i nieprzeciętnej indywidualności.

Gałczyński to duch jeden z najbardziej swobodnych, kapryśnych, pełnych fantazji, wstydzącej się samej siebie tęsknoty i sentymentalizmu. Umiłowanie poetyckiego konkretu, silne przywiązanie do ziemi i jej natchnień pozwalają widzieć w nim realistę w poezji. Ale wiele innych cech, i to często najciekawszych, wynosi go ponad Przybosia ujęcie realizmu. Gałczyński nie stworzy na pewno szkoły, ale wymknie się również z klatek wszelkich z góry wymyślonych klasyfikacyj.

W ogóle swoistość i żywotność tej poezji polega na napięciu przeciwieństw, jakie się w niej zaznacza, na ustawicznej polaryzacji sprzecznych sił duchowych, na niebywałym bogactwie uczuciowych stanów, żywiołowych i bezpośrednio przemawiających, nie wypracowywanych dopiero w cyzelatorskim wysiłku nad formą i jej „chwytami". Silna wrażliwość zmysłowa walczy tu z niemniej silnymi tendencjami sublimacyjnymi. Niepokój, niekiedy wprost katastroficzny, przesila się z beztroską buffo smutnego blagiera, to znów z pragnieniem „wielkiego uspokojenia", ciszy, „odpoczenia niespokojnym". Atmosfera nocy przedziera się uparcie w prześwietlenie i jasność, w „złoty i srebrny talent". Dziwy i ekstrawagancje groteskowego kpiarstwa opanowuje i osadza zawsze w wymierne ramy rzadko spotykana prostota. Zaiste, ta poezja to „proste dziwy" („O mej poezji").

Z tym wszystkim oddawała poezja Gałczyńskiego, jak chyba żadna inna, szaleństwa i niepokoje naszej ery. Ery schyłku starego świata. Przed „Ferdydurke" Gombrowicza, Gałczyński potwierdzał poetycko „załamanie, upodlenie, rozchwianie i zagubienie" swej epoki („Wileńskie imbroglio"). „Wiek ten murszeje, horribile saeculum istud evanescit" — pisał stylem ewangelisty.

W proroczym przeczuciu, że „potem przychodzi Attylla, tratuje", podlegają inteligenci jego lat — tęskniąca nacja, ginąca klasa — panice wędrownej epilepsji. „Powiedzcie, gdzie jest wasza ojczyzna? Wciąż nas pytają. A my nie wiemy; a my płaczemy ... na brudnych dworcach". Nawet Mickiewicz z Wilna „ujechał do Rosji ... Boże! znaczy, też komunista". Poeta nie dziwi się. On z dorożkarzami, ze ślusarzami lubi przestawać i trzymać: „myśmy są z niższych sfer". Rzeczywistość polska przygniata wszystkich swym trwaniem na marginesie dziejów.

Protestuje przeciwko niej Gałczyński w satyrze politycznej, wyjątkowo ciętej; dla systemu, gdyby mogła, zabójczej. W wierszach swoich, jak „Do Pana Ministra Spraw Wewnętrznych", „Zima z wypisów szkolnych" czy w takiej „Strasnej zabie" z kapitalnym „wspólnym wysiłkiem ządu i społeceństwa" oraz „niech żyje" dla „najwyzsej figury" osiąga wydźwięk wprost koszmarnego nonsensu.

Sam Gałczyński nie był ani komunistą, ani — wbrew przyjaciołom z „Prosto z mostu" — faszystą. Ale nie był też liberalnym, scientyficznym wellsistą. Jego żarliwej duszy to najmniej odpowiadało. Dlatego, długo jeszcze przed czasem konspiracyjnych katakumb, zdemaskował proroczo dusze letnie i kłamliwe. „Wydmuchiwacze poetyckiej blagi, a społecznego fałszu", — pisał o nich — „potrząsacze rewolucyjnych proporczyków, ale — „w razie czego", to ryms pod kaloryfer, jak szczur i — ukryć się ukryć — z kontem w zagranicznym banku".

Gałczyński również poza-poetyckim czynem zaświadczył swym pojęciom o nieustraszoności, niezbędnej poecie. Nie wyjechał za granicę dygnitarskim autem, konta bankowego nie posiadał. Prosto z pola wojny powędrował jako jeniec do obozu. I teraz nie zląkł się zarzutu — ucieczki. **Wrócił do kraju.**

Proroctwa tego „katastrofisty" sprawdzają się. „Kłamliwych koniec — śmierć jest". Jego program jest bardziej niż kiedykolwiek aktualny: **„w narodzinach nowego wieku** ty, poeto, rolę odegrasz niepoślednią". Między wszelkimi skrajnościami pojęć znajdzie się niewątpliwie, jak w całej Europie, tak i tu w Polsce, miejsce dla poety, który pragnął, żeby go kochały dzieci i bali się monarchowie, który — wbrew ciemnościom swej epoki — chciał być „słoneczny, grecki, chrześcijański".



K. I. Gałczyński (w berecie) w otoczeniu współpracowników redakcji „Wiatru od Morza" przed gmachem „Czytelnika" w Gdyni

K. I. GAŁCZYŃSKI

Zachłysnąć się tobą

Zachłysnąć się tobą jak wodą,
jak wodą orzeźwiającą,
żeby było wesoło i młodo
i trudno i gorąco;

żeby dzień się na dniu układał
jak czerwona cegła na cegle,
by ojczyzna była mi rada
i ja w niej zakochany wściekle:

bo tu nie ma, bracia, sekretu,
żeby rosło, żeby się piętło,
trzeba przykład brać od poetów,
jak się kocha zaczęte dzieło;

jak się kończy w pocie i w trudzie,
jak się lubi zgrzyty chropawe —
ja człowiek, a wyście ludzie,
nuże razem w robotę i w sławę!

Niech to będzie nasz marsz udręczony,
niech do gardła przyschnie nam język,
wydźwigniemy pod strop wygwieżdżony
nasze dzieło. I ono zwycięży.

Gdynia, 22.III.1946 r.

Ucieczka grzesznych

Chodziła Matka Boska po morzu,
Matka Boska, ucieczka grzesznych,
a księżyc już się w kołysce położył,
a wieczór był wietrzny i śmieszny;

i zjechali się różni grzesznicy
pod stopy Bogurodzicy
okrętami i łodziami;

dała każdemu po rubinie:
„będzie świecił ci" — mówi — „nie zginiesz",
Ucieczka Grzesznych — modlę się za wami".

Odpłynęli grzesznicy na głębiny
z sercami, krzyczącymi jak orkiestry,
potopiły się w morzu rubiny,
zaplątały się w wodorosty;

w noc pogodną rubinowe lśnienie,
te rubiny, na dnie morza rozgrzeszenie

W powrotnej drodze do Polski na s/s „Ragne"

Konkurs na herb Gdyni

Ogłoszony został ponownie konkurs na herb m. Gdyni na następujących warunkach:

W konkursie mogą brać udział tylko artyści polscy. Projekty mogą być dopuszczone w technice najwyżej trójbarwnej — kolor biały uważa się za neutralny. Wymiary projektów — 35 na 45 cm. Obok zasadniczego projektu, powinien być wykonany rysunek w kole jako pieczęć z napisem „Zarząd m. Gdyni" o średnicy 4 cm.

Na projektach winny być umieszczone godło, adresy autorów wraz z godłami projektów winny być dołączone w zamkniętych kopertach zaopatrzonych tymi samymi godłami. Do udziału w konkursie mogą być również zaproszeni artyści indywidualnie.

Termin składania prac w Wydziale Kultury i Sztuki Zarządu m. Gdyni **stanowi dzień 1 czerwca br.** Dla wysyłających pocztą dzień ten stanowi data stempla pocztowego.

Za wyróżnione prace wyznacza się 3 nagrody I-sza 15.000 zł., II-ga 10.000 zł. i III-cia 5.000 zł. Projekt, który otrzyma pierwszą nagrodę zostaje wybrany jako herb m. Gdyni. W razie niezakwalifikowania żadnego projektu do pierwszej nagrody, konkurs zostaje odroczony. Następne dwie nagrody oraz wyróżnione projekty jury może odpowiednio podzielić z sum przeznaczonych na nagrody. W razie niezakwalifikowania żadnego z projektów do nagród, przeznaczone sumy zostają przekazane do następnego konkursu.

W dniu 15 czerwca br. odbędzie się posiedzenie sądu konkursowego.

Górale wśród Kaszubów

Celem uaktywnienia regionalnej wymiany kulturalnej Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki sprowadził na Wybrzeże z końcem lutego br. amatorski zespół teatralny górali z Bukowiny Tatrzańskiej ze sztuką ludową „Ojcowizna" F. Dominika. Górale dali kilka jej przedstawień w Sopocie, Gdyni, Gdańsku, Wejherowie, Pucku, Swarzewie i Strzelnie. Zetknięcie ich z Kaszubami miało w niektórych miejscowościach, szczególnie na wsi, charakter żywiołowej wprost manifestacji przyjaźni.

Ku zadowoleniu Kaszubów przy każdej sposobności podkreślali górale swoją „tęsknotę do morza", chwaląc się swymi muszelkami przy kapeluszach. Na uwagę zasługuje serdeczne przyjęcie, z jakim się wszędzie na Wybrzeżu spotkali. Kaszubi po wsiach wybielili swe chaty na ich przyjazd, przyozdobili je firankami, a stoły — wymyślnymi potrawami z dorsza (aż w siedmiu wydaniach!) Przyjaźń między obu regionami, kaszubskim i góralskim, została zawarta. Zespoły kaszubskie z kolei zaproszono w Tatry.

Dnia 10 ub. m. opuścili górale Wybrzeże, ślubując, że o braciach - Kaszubach jak i o morzu nigdy nie zapomną. Zobaczymy — może z tego wynikną prawdziwe śluby. (Ś. Z.)

Kultura i sztuka na Wybrzeżu

GDYNIA

Dnia 27 ub. m. w ramach „Środy artystycznej" odbył się w Szkole Muzycznej wieczór autorski Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, który — wbrew wersjom o jego śmierci za granicą — przybył w dniu 21 ub. m. na statku s/s „Ragne" wraz z repatriantami do Gdyni. Czar wieczoru spotęgował nie tylko urok doskonałych wierszy, ale i znakomita, pełna swobody ich interpretacja. Dodać trzeba, że autor recytował niemal wszystkie swoje wiersze z pamięci. Prócz kilku zaledwie, napisanych w latach wojny, przypomniał publiczności swe utwory dawniejsze, co nie przeszkadzało jednak, że przyjęto je na wieczorze z entuzjazmem. Podczas wieczoru przeczytał on również jeden z wierszy („Dziewiąta symfonia") poetki Maruty Stobieckiej, przybyłej z nim równocześnie z Belgii. W części muzycznej programu koncertował Henryk Palulis. Dnia 31 ub. m. K. I. Gałczyński powtórzył swój wieczór poetycki w Teatrze Dramatycznym w Sopocie.

Dn. 24 ub. m. odbył się w teatrze Domu Marynarza jubileusz 30-lecia pracy scenicznej Gwidona Trzywdara - Rakowskiego. Jubilat wystąpił w „Skąpcu" Moliera, w roli tytułowej. Do szeregu ról jak Łatka, Stańczyk („Wesele"), Wiarus, Grzegorz („Kordian"), Lanckoroński („Na morskich szańcach" J. Stępowskiego) zapisanych dobrze w pamięci krytyki, dołaczyła się nowa, rzetelnie opracowana kreacja. Trzywdar-Rakowski pracował jako artysta dramatyczny w teatrze im. Słowackiego w Krakowie, Narodowym w Warszawie i wielu innych. Po okupacji, podczas której nie występował na żadnej scenie, wrócił do Gdyni, aby w Teatrze Marynarza kontynuować swą pracę artystyczną na miejscowym terenie, rozpoczętą już w 1937 r.

Teatr Miejski „Komedia" wystawił w dniu 30 ub. m. „Przeprowadzkę" K. H. Rostworowskiego w oprawie dekoracyjnej W. Królikiewicza, w reżyserii W. Zastrzeżyńskiego, z udziałem: Jarszewskiej, Majdrowicz, Wiłowicz, Andrzejewskiego, Gwiazdowskiego, Nowaka, Szerzeniewskiego i Zastrzeżyńskiego. Sądzac z dotychczasowego bilansu, „Przeprowadzka" obok „Ślubów Panieńskich" jest najlepszym spektaklem gdyńskiego teatru. Jego repertuar wkroczył powoli, lecz z wyraźną dla wszystkich korzyścią, w dziedzinę sztuk o głębszej problematyce psychologicznej i bardziej wyrazistej dynamice społecznej.

GDAŃSK

Bilans ochrony zabytków na terenie Gdańska przedstawia się do kwietnia br. następująco:

Ratusz staromiejski — nakryty dachem, w pełnej odbudowie; ratusz przy ul. Długiej — komnatka z wieży nakryta dachem; Dwór Artusa — okryto resztę sklepienia; gmach „Katownia" — odjęto ze szczytów rzeźby; Złota Brama — spięto mury; Zielona Brama — podstemplowanie i częściowa rozbiórka; kościół Najśw. Panny Marii — przygotowanie do stałego pokrycia dachem i podmurowanie wieży; kaplica Królewska — rozpoczęto prace celem pełnej restytucji; kościoły św. Bartłomieja i św. Józefa — zabezpieczono w nich kaplice; kościół św. Mikołaja — nakrycie dachem i stemplowanie pękających murów; kościół św. Trójcy — nakrycie dachem; kościoły św. Katarzyny, św. Brygidy i św. Jana — zabezpieczenie zakrystii; dom Steffensów — podparcie przyporą fasady. Do prac konserwatorskich należy tu ponadto dołączyć urządzenie dziesięciu lapidariów, dwóch zbiornic muzealnych, jako też samego muzeum.

Przy Wydziale Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego powstał zespół artystyczny, który dysponuje orkiestrą, 50-cioosobowym chórem i mieszaną trupą aktorską, zawodową i amatorską. Zespół ten bierze udział nie tylko w „Wieczorach poezji i prozy polskiej", ale także i w uroczystościach okolicznościowych. Programy „Wieczorów" obejmują utwory polskiej literatury pięknej, podane w przekroju epok, urozmaicone śpiewem i muzyką, powiązane recytacjami i objaśniane w sposób ciekawy i staranny przez M. Szczepkowską. W ich ramach wystawia się również sztuki teatralne. Miejski Wydział Kultury i Sztuki oraz Bractwo Literackie mogą się w ten sposób po ośmiu miesiącach działalności wykazać liczbą około pięćdziesięciu imprez, w tym dziesięciu wieczorów poezji i prozy. Cieszą się one w ogólności dużą frekwencją, przede wszystkim młodzieży, która dzięki nim może uzupełnić (za niską opłatą 10 zł) wiadomości z zakresu literatury polskiej.

SOPOT

Ostatnia premiera Teatru Dramatycznego „Grube ryby" M. Bałuckiego (dn. 28 ub. m.) pobudza uważnego widza do pewnych refleksji. Zamierzano odbarwić sztukę z kolorytu lokalnego, dać widowisko zabawne, w typie groteski, uczynić dekoracje i kostiumy elementem równorzędnym aktorowi, podkreślić wszelkimi środkami ekspresji teatralnej komizm spektaklu. Zapomniano jednakże o tekście, wskutek czego niejednokrotnie przedstawienie przypominało witkiewiczowski „teatr nonsensu". Niedobór środków materialnych i artystycznych pokrzyżował przy tym w dużym stopniu plany inscenizatora. Dekoracje: M. Jasielski, reżyseria M. Janowski, obsada: Wnorowska, Jamry, Żuromska, Janowski, Kitka-Sokołowski i Kosmyra.

Dnia 3 bm. odbył się w sali Teatru Dramatycznego wieczór autorski poety Edwarda Fiszera po jego powrocie z obozu jeńców w Niemczech. Wieczór poprzedził wstępem Janusz Rychlewski. Wiersze obozowe Fiszera w zestawieniu z poezją konspiracyjną stanowią ciekawy materiał dla badacza wpływu autentycznych przeżyć na lirykę okresu niewoli.

TCZEW

Meldunki gminnych Rad Kultury i Sztuki wykazują na terenie powiatu dosłownie: — „18 zabytkowych kościołów, 95 fortepianów, 2 orkiestry, pół zespołu teatralnego, pół chóralnego i zero książek polskich". Komentarze zbyteczne.

KWIDZYŃ

Muzeum Miejskie w Kwidzyniu rozporządza niemałą już ilością eksponatów, brak tylko kustosza, który by je urządził.

Dobrze tu będzie nadmienić, że na właściwą opiekę konserwatorską zasługuje w okolicy piękny kościół gotycki w Rakowicach Pomorskich.

MALBORK

Dnia 17 ub. m. odbyła się w Malborku uroczysta akademia w związku z obchodem Roku Kościuszki. Uroczysty program wypełniły popisy chóru, orkiestry i miejscowego zespołu teatralnego. Na prowincji okolicznościowe uroczystości są okazją do urządzenia festivalu sztuki lokalnej, w głównych natomiast miastach Wybrzeża zbywa się je skandalicznie ryzykownymi wystąpieniami cudownych dzieci, jak to miało miejsce np. podczas kościuszkowskiej akademii w Gdyni. (Upamiętnił tę akademię „Dziennik Bałtycki" w dniu 19. II w dowcipnym sprawozdaniu pt. „Patrz Kościuszko na nas z nieba") Trudno, drugim razem pojedziemy na akademię do Malborka, żeby nie martwić rodziców nieudanymi popisami ich cudownych dzieci.

LĘBORK

Jak się okazuje, miejscowa biblioteka Domu Kultury zawiera 204 książki, w tym jedną okolicznościową broszurę pt. „Lębork" (własnego nakładu).

BYTÓW

Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej przygotowało „Pana Jowialskiego" Fredry. Jest nadzieja, że ta komedia wyrwie społeczeństwo bytowskie z otchłani smutku, w jaką je pogrążyła ostatnio ponura „rewia" w wykonaniu łódzkiej Brygady Nr 1 Państwowego Przedsiębiorstwa Widowiskowego. Popisy PPW., szczególnie estradowe, wzbudziły namiętny sprzeciw nawet mało wybrednych bytowskich widzów. Może by tak podobne występy ograniczyć do arenowych imprez, lub przynajmniej nie urządzać ich w Domach Kultury, aby nie wprowadzać chaosu w ustaloną od wieków interpretację pojęcia kultury.

SŁUPSK

Zespół artystyczny Miejskiej Rady Kultury i Sztuki wystawił tu ostatnio komedię pt. „Gałganek" Nicodemiego, zaś gimnazjum państwowe „Śluby Panieńskie" Fredry. Ten rozmach życia teatralnego przeraził ojców miasta, dlatego czym prędzej postanowili przebudować Teatr Polski na kino, pomimo, że Ministerstwo Kultury i Sztuki zamierza tam założyć szkołę dramatyczną.

MIASTKO

Podczas inwentaryzacji mebli antycznych i książek na terenie powiatu znaleziono w zawalonych piwnicach akta miejscowego archiwum miejskiego. Ułatwią one niewątpliwie odtworzenie obrazu przeszłości miasta i krajobrazu duchowego jego byłych mieszkańców.

Niepolityczna Szopka Polityczna

Pod tym tytułem od kilku tygodni we wszystkich większych miastach Wybrzeża grana jest z powodzeniem szopka polityczna pióra Stanisławy Fleszarowej, utalentowanej poetki gdyńskiej. Sukces tej niewątpliwie oryginalnej imprezy przypisać należy dużemu nakładowi pracy, włożonej przez autorkę w opracowanie tekstów, oprawę muzyczną i organizację całości widowiska. Na specjalną uwagę zasłużyły sobie doskonałe kukiełki w wykonaniu Władysława Zawadzkiego i Renaty Sudziłowskiej. (w)

W przekroju miesiąca

Każdy dzień przynosi wiadomości o postępie prac przy odbudowie naszych portów. Remont, oczyszczanie nabrzeży portowych i dalsze uruchamianie urządzeń przeładunkowych, prowadzone bez przerwy nawet w okresie niesprzyjających warunków klimatycznych, sprawiły, że Gdańsk i Gdynia mogą obecnie przyjąć i obsłużyć po 22—25 dużych statków.

Dn. 25. III. w porcie gdyńskim znajdowało się 40 statków o ogólnej pojemności 90.000 BRT. **Ta ostatnia cyfra była nawet przed wojną rzadkością w Gdyni.** Tego samego dnia w porcie gdyńskim znajdowało się 5 statków amerykańskich i 3 angielskie — co również nie zdarzało się często przed 1939 r. Zwiększenie pojemności naszych portów wschodnich zawdzięczać należy pogłębieniu wejścia do portu gdyńskiego, który dzięki temu w pierwszej połowie marca mógł przyjąć 155 statków. W tym samym okresie przez port gdański przeszło 120 statków.

Historyczną datą dla Szczecina stał się dzień 4. bm., w którym do tego portu wpłynął pierwszy statek. Był nim s/s „Poseidon", który przywiózł z Lubeki ok. 1000 repatriantów, zabierając następnie wyjeżdżających z Polski Niemców. Trzeci polski port nad Bałtykiem podjął pracę w służbie morskiej Rzplitej.

Największymi wydarzeniami w porcie gdyńskim w ostatnich kilku tygodniach był **powrót polskich trawlerów „Rybitwa", „Mewa", „Czajka" i „Żóraw"** oraz **uroczyste przekazanie Polskiej Marynarce Wojennej 23 jednostek wojennych przez władze radzieckie.** Są to: 2 kutry torpedowe, 9 trawlerów i 12 ścigaczy. Dnia 5 bm. przy tłumnym udziale publiczności nastąpiło w porcie na Oksywiu oficjalne przekazanie tych jednostek Marynarce Polskiej.

W związku z powrotem 4 polskich trawlerów, zagrabionych przez Niemców, „Gazeta Morska" w nrze 74-ym podaje godne uwagi szczegóły: „Schodzące z okrętów załogi niemieckie wyniosły, względnie zniszczyły wiele sprzętu; pozabierano sprzęt kuchenny, zegary, materace, koce, przybory nawigacyjne, prawie wszystko, co przedstawiało wartość, a nie było zbyt mocno przymocowane do okrętu. Wielka liczba aktów sabotażu rzucała się w oczy: rozbite kompasy, pocięte flagi sygnałowe, wbite gwoździe w instalacje elektryczne (powodujące krótkie spięcia prądu) oraz wyrzucone za burtę części mechanizmów i sprzętu są wystarczającym tego dowodem". Nasi sprzymierzeńcy, Anglicy, niestety nie umieli temu przeszkodzić.

Dn. 15 ub. m. na s/s „Ragne" wyjechała do Danii grupa polskich rybaków po odbiór 15-u kutrów rybackich UNRRA z portu Hunsted. Wrócili 3 bm. po ciężkiej przeprawie przez mgły i wichry. W pierwszej połowie marca bawił na Wybrzeżu prezes czechosłowackich zakładów zbrojeniowych „Skoda" z Pilzna, dyr. Hromadko, przeprowadzając szereg konferencji z zainteresowanymi kołami polskimi. S/s „Hel" (dn. 12 ub. m.) i s/s „Narocz" (dn. 22 ub. m.) po raz pierwszy po wojnie przybyły do Polski.

Dn. 19. III. w Gdyni ruszyły trolleybusy. Dn. 20. III. przybył z Kopenhagi inż. Hojjgard w sprawie odbudowy nabrzeży i falochronów w Gdyni. Dn. 21. III. na s/s „Rothenfels" wyjechali polscy rybacy do Hamburga po kutry zabrane przez Niemców. Strefa wolnocłowa w Gdyni oddana została do użytku (nadaje się zwłaszcza do przeładunku towarów UNRRA i bawełny). Dn. 25. III. do Gdyni przybyło 5 statków z rybami (śledzie solone i świeża ryba). **Dn. 25. III. do Gdańska wrócił s/s „Sobieski", uczestnik wszystkich inwazji przeciwko Niemcom,** wioząc na swym pokładzie 2 000 polskich żołnierzy ze Szkocji, witanych owacyjnie przez przedstawicieli władz i licznie zgromadzoną publiczność.

Barki rzeczne docierają już do portu gdyńskiego, zabierając towary UNRRA, które m. inn. i Wisłą są obecnie przewożone w głąb kraju. Elewator nr 2 w gdańskim porcie wiślanym oddany został do użytku.

Polskie stocznie, które wyremontowały już 20 statków zagranicznych, są w stanie przystąpić do budowy pełnomorskich statków handlowych.

Dnia 3-go bm. do portu w Świnoujściu zawinęły pierwsze jednostki Polskiej Marynarki Wojennej, trawlery „Rybitwa", „Czajka", „Mewa" i „Jaskółka".

Ministerstwo Żeglugi i Handlu Zagranicznego opracowało **projekt komercjalizacji portów polskich,** w myśl którego eksploatacja ich i zarząd wydzielone zostaną spod kompetencji władz administracyjnych.

Czas wolny od opłaty postojowego w Gdyni i w Gdańsku skrócony został do 6—9 godzin, za wyjątkiem węgla i koksu.

Polskie władze morskie przejęły od władz radzieckich urządzenia portowych składów płynnego paliwa w Szczecinie.

Połowy ryb na całym naszym Wybrzeżu w marcu dały bardzo dobre rezultaty. Złowiono 1.419.945 kg ryb wartości 35.446.740 zł. 95 procent połowu stanowią dorsze.

Dnia 8 bm. do portu gdyńskiego zawinął duński s/s „Bes" — tysięczny statek w Gdyni po zakończeniu wojny. **em.**

PRZEGLĄD PRASY

Sprawy morskie zajmują dużo miejsca na łamach prasy codziennej i periodycznej. Tę ostatnią podzielić można na dwie grupy. Do pierwszej należą wydawnictwa, poświęcone wyłącznie zagadnieniom morskim jak **„Morze"** i **„Młodzież Morska"** oraz jednodniówki w rodzaju **„Śląsk—Bałtyk"** (wydawnictwa Ligi Morskiej).

Drugą grupę stanowią czasopisma, zajmujące się w programie swej działalności również i zagadnieniami tematycznie, pośrednio związanymi z morzem i Wybrzeżem. Wśród nich wyróżniają się przede wszystkim **„Odra"**, **„Arkona"** i **„Polska Zachodnia"**.

Słuszny jest kalambur, mówiący, że „Odra" wpada do morza. Przedostatni (piąty) jej numer przynosi ciekawy artykuł Zbyszko Bednorza o „klęsce Almayera", ostatni zaś zawiera szkic historyczny Amelii Łączyńskiej pt. „Gawęda o polskich księżniczkach Pomorza Zachodniego".

W marcowym nrze bydgoskiej **„Arkony"** znajdujemy recenzje „Przekleństwa morza" Artura Marii Swinarskiego, rozważania na temat autentyzmu Jana z Kolna, wiadomości z Wybrzeża, a wśród ilustracji: drzeworyty Brzęczkowskiego („Retra - Akropolis słowiańska" i „Okręt") oraz dwie reprodukcje akwarel Mariana Mokwy.

Leszek Gustowski w 11-tym nrze **„Polski Zachodniej"** stwierdza, że doświadczenia z byłym „Wolnym Miastem" każą nam odrzucić każde połowiczne rozwiązanie spraw polskich na Bałtyku. W tymże samym nrze Czesław Pilichowski zwraca uwagę na równorzędne znaczenie Rugii z Sundem i kanałem Kilońskim, domagając się odpowiedniego potraktowania tego zagadnienia na konferencji pokojowej. Numer 13-sty tego pisma zajmuje się między innymi problemami szczecińskimi i gdańskimi.

Grono czasopism ilustrowanych jak **„Przekrój"** i **„Żołnierz Polski"** (poświęcają one coraz więcej uwagi polskiemu morzu i Wybrzeżu), **powiększyło się ostatnio o „Marynarza Polskiego", wydawanego w Gdyni,** a zapowiadającego się bardzo interesująco. Nr 1-szy zawiera szereg wartościowych artykułów („Kołobrzeg", „Bitwa o Atlantyk", „O okrętach wojennych"), nowelę Stanisława Strumph-Wojtkiewicza pt. „Zmora bosmana Rybickiego" oraz liczne i ciekawe ilustracje.

Utwory poetyckie związane z morzem znajdujemy we wspomnianej wyżej jednodniówce **„Śląsk — Bałtyk"**, wydanej w Chorzowie („Przekleństwo morza" Artura Marii Swinarskiego, „Dialog Bałtycki" Jalu Kurka, „Stary Rybak" Kazimierza Glińskiego), w **„Morzu"** (XII-ty rapsod z „Odyssei" w tłumaczeniu Mleczki, wiersze Tadeusza Jantara), w **„Kuźnicy"** („Z podróży" Juliusza Żuławskiego), w **„Radio i Świat"** (Leopolda Lewina „Wróciliśmy nad Bałtyk").

Tłumaczenie wiersza Michała Lermontowa pt. „Żagiel" zamieszcza lutowy numer **„Życia Słowiańskiego"**, w którym znajdujemy poza tym ciekawy szkic historyczny Kazimierza Piwarskiego „Słowiańszczyzna a Bałtyk".

„Echa Borów Nadbałtyckich", wychodzące w Gdańsku, a będące kontynuacją tradycji warszawskiego czasopisma dla leśników pt. „Echa leśne", w dziale literackim swego marcowego nru zamieszczają fragment poetycki pt. „Opowieść Bałtycka" Janusza Stępowskiego.

Pierwszą rocznicę powrotu Polski nad Bałtyk (pod Kołobrzegiem) uczcił m. i. i warszawski tygodnik **„Radio i Świat"** artykułem pułk. Nadzina oraz reportażami z Sopotu (nieco „archaiczny") i Szczecina.

„Zrzesz Kaszebsko", pismo poświęcone wyłącznie sprawom kaszubskim, a wychodzące w Wejherowie, przypomniało w nrze 37-ym (z 26. III.) 65-ą rocznicę śmierci Floriana Ceynowy, ojca ideowego ruchu kaszubskiego.

Nr. 13-ty łódzkiej **„Kuźnicy"** przynosi artykuł Natalii Gąsiorowskiej „Bałtyk i jego zaplecze", opracowany na podstawie danych „Przeglądu Zachodniego", „Życia Gospodarczego" Jana Zdzitowieckiego oraz wypowiedzi Delegata Rządu min. Kwiatkowskiego.

„Tygodnik Warszawski" - w nrze 14 zamieszcza artykuł o Conradzie pt. „Zwycięstwo lorda Jima" pióra Antoniego Gołubiewa, nawiązujący do artykułu Dobraczyńskiego w nrze 1-ym „Wiatru od Morza" i Zbyszko Bednorza w „Odrze".

Edward Martuszewski

Międzynarodowe uregulowanie pracy na morzu

Ostatnio ukazały się notatki w prasie o zakończeniu konferencji przygotowawczej **Międzynarodowego Biura Pracy**, która odbyła się w Kopenhadze, a której wynikiem było wypracowanie tzw. **Karty Pracy na Morzu.** Zanim zapoznamy się z treścią jej postanowień, należy sobie uzmysłowić dotychczasowe, przedwojenne wyniki w dziedzinie międzynarodowego uregulowania pracy na morzu.

Specjalna komisja, powołana w czasie opracowywania Traktatu Wersalskiego dla określenia zasad międzynarodowego ustawodawstwa pracy, zaleciła Międzynarodowemu Biuru Pracy przy Lidze Narodów, aby zwoływało specjalne konferencje międzynarodowe dla znormalizowania warunków pracy na morzu. Pierwszą z tych konferencji notujemy w 1920 roku, ostatnią zaś w 1936 r. Wynikiem konferencji z 1920 roku było uchwalenie czterech konwencji międzynarodowych, a mianowicie:

a) konwencji w sprawie pośrednictwa pracy dla marynarzy, stwarzające instytucje bezpłatnych, państwowych biur pośrednictwa pracy dla marynarzy wszystkich krajów, które w liczbie 27 konwencję tę ratyfikowały;
b) konwencji, określającej najniższy wiek (14 lat) dopuszczania młodocianych do pracy na statkach. Została ona następnie zrewidowana w 1936 roku, przy czym podniesiono granicę wieku z 14 na 15 lat. Ratyfikowały ją 32 państwa;
c) konwencji w sprawie odszkodowania na wypadek bezrobocia z powodu rozbicia się statku. Ustala ona, że każdy członek załogi winien otrzymać przez okres co najmniej dwumiesięczny taką samą płacę, jak w czasie zatrudnienia przed zatonięciem statku. Ratyfikowało ją 28 państw;
d) konwencji, ustalającej lat 18 jako najniższy wiek pracowników w pomieszczeniach pokładowych i kotłowniach. ratyfikowały tę konwencję 32 państwa.

Powyższe cztery konwencje zostały ratyfikowane przez Polskę w Dzienniku Ustaw Nr 54, z 1925 roku.

Międzynarodowe Biuro Pracy przyjęło jeszcze w 1920 r. zalecenie co do kodyfikacji poszczególnych państw w przedmiocie pracy marynarzy. Zalecenie to znalazło swoje częściowe urzeczywistnienie w dalszych konwencjach, o których będzie jeszcze mowa poniżej, jak również i w rezolucji Międzynarodowej Konferencji Pracy, powziętej już w czasie ostatniej wojny (w 1941 r.), wzywającej do międzynarodowego uregulowania ekonomicznych i socjalnych warunków w Marynarce Handlowej bezzwłocznie po ukończeniu wojny. Konferencja kopenhaska, o której mowa na wstępie, i wypracowanie przez nią Karty Pracy na Morzu stanowi niewątpliwie ostateczną syntezę wysiłków, zapoczątkowanych w tym kierunku jeszcze w 1920 roku.

W 1921 roku przyjęto konwencję o obowiązkowych oględzinach lekarskich osób młodocianych, zatrudnionych na statkach. Postanowienia jej warunkują zatrudnianie młodocianych, liczących mniej niż 18 lat pracowników, od przedłożenia świadectwa zdrowia, wystawionego przez lekarza urzędowego. Ratyfikowały tę konwencję 33 państwa, wśród nich i Polska.

Po paroletniej przerwie, wypracowano w 1926 roku dwie inne konwencje: — dotyczącą umowy najmu pracy marynarzy oraz drugą, dotyczącą repatriacji marynarzy. Pierwsza z nich określa formę i warunki umowy o pracę pomiędzy armatorem a marynarzem, z wyjątkiem żeglugi przybrzeżnej, statków rybackich, mniejszych jednostek morskich i statków, niezatrudnionych w żegludze handlowej. Ratyfikowało ją 25 państw. Druga z tych konwencji uprawnia marynarza, który pozostał na lądzie nie na skutek własnej woli lub przewinienia z jego strony, do bezpłatnego przewozu do portu ojczystego, lub tego portu, w którym zaciągnął się on na statek. Przyjęło tę konwencję 17 państw. Polska ratyfikowała obie wyżej wspomniane konwencje w Dzienniku Ustaw Nr 106 z 1931 roku.

Również i w roku 1926 zostały uchwalone dwa zalecenia. Pierwsze z nich dotyczy rozszerzenia konwencji o repatriacji marynarzy na kapitanów i oficerów, drugie zaś inspekcji warunków pracy marynarzy.

W 1936 roku uchwalono pięć konwencji oraz jedno zalecenie:

a) **Konwencja o czasie pracy i minimalnej obsadzie na statkach** ustalała ośmiogodzinne zmiany pracy na statkach powyżej 2.000 ton rejestrowych brutto oraz czas pracy w maszynowniach na statkach powyżej 700 ton. Miała ona wejść w życie w ciągu sześciu miesięcy po piątej ratyfikacji, dokonanej przez państwa, posiadające Marynarkę Handlową o tonażu nie niższym, niż milion ton. W dniu wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. była ona ratyfikowana jedynie przez Australię, Belgię, Stany Zjednoczone i Szwecję. Ze strony Szwecji była ona uwarunkowana i uzależniona przy tym od ratyfikacji siedmiu innych państw. W ten sposób konwencja ta nie weszła jeszcze faktycznie w życie.
b) **Taki sam los podzieliła druga konwencja: — o płatnych urlopach rocznych marynarzy.** Przewidywała ona dwunastodniowy, płatny urlop po roku nieprzerwanej pracy dla oficerów i radiotelegrafistów, jako też dziewięciodniowy urlop dla innych członków załogi. Do wybuchu wojny ratyfikacje tej konwencji były przedłożone jedynie przez Belgię, Meksyk i Stany Zjednoczone;
c) **Konwencja o świadectwach uzdolnienia kapitanów i oficerów,** przewidująca obowiązek posiadania zaświadczeń, wydanych przez władzę państwową kraju, w którym ich statek jest zarejestrowany, ratyfikowana była do chwili wybuchu wojny przez dziewięć państw;
d) **Konwencja o obowiązkach armatora na wypadek choroby członka załogi,** mająca ustalić obowiązek ponoszenia kosztów leczenia na wypadek choroby lub kalectwa jakiegokolwiek członka załogi, doczekała się ratyfikacji do chwili wybuchu wojny jedynie ze strony Belgii, Meksyku i Stanów Zjednoczonych;
e) **konwencja, dotycząca ubezpieczeń na wypadek choroby marynarzy,** określająca wysokość świadczeń w razie choroby oraz śmierci, nie została ratyfikowana do chwili wybuchu wojny przez jakiekolwiek z państw.

Zalecenie, dotyczące roztoczenia opieki nad marynarzem przez utworzenie w każdym ważniejszym porcie państwowego, lub przez państwo uznanego **Domu Wypoczynkowego dla Marynarzy** przewiduje również ochronę marynarzy przed niebezpieczeństwami, na które w życiu swym bywają narażeni (tuberkuloza, choroby weneryczne, prostytucja, narkotyki, alkoholizm). Zalecenie to propaguje również publikację wydawnictw informacyjnych, mających dawać praktyczne wskazówki dla marynarzy, przybywających do ważniejszych portów.

W tym ogólnym omówieniu dotychczasowych postanowień, regulujących warunki pracy marynarza w skali międzynarodowej, nie można pominąć jeszcze dwóch innych konwencji, których zasadniczym celem jest **ochrona pracy robotników portowych.** Pierwsza z nich, konwencja, przyjęta w 1929 r. i zrewidowana w 1932 r., **określa ogólnie pracę w dokach portowych,** dostęp na statek, dostęp do luk okrętowych, układanie towarów (tzw. sztauerkę) na statkach, towary niebezpieczne dla zdrowia, pierwszą pomoc w nagłych wypadkach i inspekcję pracy. Konwencja ta została ratyfikowana przez dziewięć państw. Druga z nich, przyjęta w 1929 r., **ustala obowiązek oznaczenia wagi na towarach, przenoszących 1-metryczną tonę przy przewozach na statkach,** a to celem umniejszenia ryzyka wypadków przy przeładunku. Została ona ratyfikowana przez 35 państw, łącznie z Polską.

Powyższy ogólny przegląd dotychczasowych osiągnięć w dziedzinie międzynarodowego uregulowania pracy na morzu pozwoli nam ocenić wyniki ostatniej konferencji kopenhaskiej z chwilą opublikowania ich przez delegację, która z ramienia Polski brała udział w tych obradach.

Tadeusz Bierowski

Treść 2-go numeru

16-stronicowy, bogato ilustrowany numer uzupełniają wiadomości z działu „Kultura i Sztuka na Wybrzeżu" oraz drobne wiadomości z terenu Wybrzeża i ze szlaków morskich pt. „Z kambuza".

Z kambuza

POWSTANIE ZWIĄZKU GOSPODARCZEGO MIAST MORSKICH

Jednym z najważniejszych osiągnięć twórczej pracy na Wybrzeżu w ostatnim miesiącu było założenie z inicjatywy Delegatury Rządu dla Spraw Wybrzeża Związku Gospodarczego Miast Morskich. Powołany został Komitet Organizacyjny w składzie prezydentów miast Gdańska, Gdyni, Szczecina, Sopot i Elbląga, przewodniczącego Komisji Morskiej KRN, Delegata Rządu dla Spraw Wybrzeża i Dyrektora Departamentu Morskiego Ministerstwa Żeglugi i Handlu Zagranicznego.

Uroczystość podpisania aktu erekcyjnego Związku odbyła się dn. 28 ub. m. w siedzibie Delegata Rządu dla Spraw Wybrzeża w Gdańsku. Komitet Organizacyjny postawił sobie jako główne zadania: przygotowanie podstawy prawnej dla działalności Związku Gospodarczego Miast Morskich Polski; powołanie do współpracy wszystkich miast morskich i portowych R. P. oraz przygotowanie Walnego Zjazdu Związku Gospodarczego Miast Morskich w dniach 28—30 czerwca br. Doniosłemu temu wydarzeniu poświęcimy w n-rze następnym specjalny artykuł. **(W. I.)**

TROCHĘ MORSKIEJ TERMINOLOGII

Prawdziwą kopalnią humoru są nieporozumienia, wynikłe na tle terminologii morskiej. Niepotrzebnie gen. Mariusz Zaruski starał się spolszczyć stare, uznane przez wszystkie marynarki świata, nazwy holenderskie (broń Boże, nie niemieckie!). Pamiętam, jak razu pewnego, rozzłoszczony spowodowanym w ten sposób nieporozumieniem, wychowawcą pierwszej edycji polskich kapitanów śp. Tadeusz Ziółkowski wyraził się do otaczających go marynarzy:

— Ha! niedługo to pan Zaruski nazwie mnie furmanem, a bukszpryt dyszlem.

Właśnie o ten bukszpryt chodzi. W 2-im n-rze „Wiatru od Morza" tłumaczyłem, że to maszt poziomy na dziobie statku. Otóż Tadeusz Dębicki, jeden z pierwszych uczniów Szkoły Morskiej w Tczewie, w liście do swego ojca doniósł mu, **że złamał bukszpryt.** Reperacja tego złamanego masztu kosztować miała 3 funty angielskie. Nieuświadomiony w sprawach morskiej terminologii ojciec, znakomity zresztą pisarz, Zdzisław Dębicki, przesłał mu natychmiast żądaną sumę. Przyjąwszy, że bukszpryt ma 35 cm średnicy łatwo zrozumieć pointę tego dowcipu.

W artykule Strumph-Wojtkiewicza, zamieszczonym w n-rze 2-gim „Wiatru od Morza" spotyka się nazwisko Stasia Cumy. Domorośli lingwiści — w wielu wypadkach jak się przekonałem — czytali to nazwisko: **Kuma.** Tymczasem nazwisko zostało spreparowane z marynarskiego wyrazu: **cuma.** Czytaj jak cebula, cnota, cielątko.

W artykule moim, zamieszczonym w nrze 2-gim „Wiatru od Morza", przypomniałem piosenkę, której dowcip dla niemarynarza jest całkowicie niezrozumiały. Piosenka opiewa, jak „pracowała cała familia" na szkolnym statku. Pragnąc udostępnić czytelnikom zrozumienie tej piosenki — w swoim czasie budziła ona wesołość wśród kilku pokoleń adeptów sztuki żeglarskiej — podaję objaśnienia poszczególnych wyrazów.

Rufa — tylna część statku. Na żaglowcach zastępuje mostek kapitański. **Cuma** — lina za pomocą której statek jest przymocowany do nabrzeża. Stąd cumować, przytwierdzać statek do brzegu. **Halać** — po kaszubsku — ciągnąć. **Ober-mars-fał** — lina, używana do podciągania jednej z wyższych rej. **Bram** — jedna z najwyższych rej. **Oversztag**, inaczej zwrot przez sztag, rodzaj manewru żaglowcem. **Perta** — lina, zawieszona tuż pod reją, służąca do stania na niej przy zwijaniu żagli.

Jan Kuropatwiński

STATEK SPAWANY ELEKTRYCZNOŚCIĄ

W marcu br. zawinął do portu gdyńskiego statek motorowy „Ada Gorthon". Jest on własnością towarzystwa szwedzkiego Gorthonline w Göteborgu. Statek przybył z ładunkiem UNRRY z Marsylii. Statek, pomalowany na piękny szaro-popielaty kolor, zatrzymał się przy nabrzeżu amerykańskim. Z pozoru niczym nie odróżnia się od innych motorowców tej samej linii. A jednak budowa jego jest w rzeczywistości całkiem odmienna od statków konstruowanych dotychczas. Jest zbudowany bez użycia ani jednego nitu. Poszycie jego jest spawane elektrycznością. Jest to swego rodzaju rewolucją w systemie budowy okrętów. Rewolucją, która zresztą coraz bardziej wchodzi w życie na stoczniach, zarówno europejskich, jak i amerykańskich. Piękny ten motorowiec o wspaniałych liniach opływowych został zbudowany kosztem ok. pięciu milionów koron na stoczni w Malmo.

Z życia Państwowej Szkoły Morskiej

NASZE KSIĄŻKI

Jedną z najpoważniejszych trudności, na jakie napotykają uczniowie P. S. M. w zdobywaniu wiedzy fachowej, jest brak podręczników. Na tę samą trudność natknęli się już w 1920 r. organizatorzy i wykładowcy P. S. M. w Tczewie. Pokonano ją w ten sposób, że powołany został do życia Instytut Wydawniczy przy P. S. M., zadaniem którego było wydawanie niezbędnych dla uczniów podręczników z dziedziny wiedzy nautycznej, frachtowej oraz traktujących o mechanizmach okrętowych. Wojna i okupacja zniszczyły prawie całkowicie dorobek 20-tu lat działalności wydawniczej Instytutu.

Po wojnie, prawie równocześnie z rozpoczęciem nauki w P. S. M., na nowo powołano do życia Instytut Wydawniczy. Praca ta, prowadzona przez uczniów, **obejmuje na razie wydawanie podręczników w formie skryptów, powielanych na własnym aparacie.** Dotychczas wydano: „Język angielski", wg. Berlitz'a, str. 60, egz. 200; „Streszczony kurs morskiej praktyki", wg. Kańskiego, (przedruk częściowy), str. 45, egz. 140; „Wyciąg z instrukcji sygnałowej Międzynarodowej Księgi Kodu" (tłumaczenie nieurzędowe), str. 10, egz. 100; „Silniki okrętowe wszelkich statków i okrętów wojennych", str. 80, egz. 500.

W ten sposób usiłujemy radzić sobie — sami. Najpoważniejszą jednak pozycję stanowią tu podręczniki, zakupione w dostatecznej ilości za granicą. Wśród nich znajdują się książki, wydane w języku polskim przez Dział Spraw Morskich Ministerstwa Przemysłu, Handlu i Żeglugi w Londynie w 1942 roku. Są one przedrukiem wydawanych przed wojną przez Instytut Wydawniczy P. S. M. podręczników jak: Antoniego Ledóchowskiego: „Kurs Nawigacji" i jego „Astronomia Żeglarska", inż. Kazimierza Bielskiego: „Mechanika teoretyczna", „Mechanizmy okrętowe — Atlas części maszyn i kotłów parowych", „Prawidła wykonywania rysunków", inż. Michała Kisielewskiego: „Kotły okrętowe ich obsługa, uszkodzenia i naprawy". Tablice logarytmiczne S. Sokala i J. Krzywieckiego, są już wydaniem krajowym, powojennym.

Z podręczników w języku angielskim mamy: H. J. Pursey: „Merchant Ship Construction" oraz: „The nautical almanac, abriged for the use of seaman for the year 1946". Poza tym uczniowie mogą korzystać z podręczników w języku niemieckim, których znaczna ilość pozostała po okupantach.

Osobną pozycję w dziedzinie pomocy naukowych stanowi biblioteka szkolna.

W maju 1945 r. poza znaczną ilością książek niemieckich, posiadała ona tylko 17 tomów w języku polskim. Dziś jest ich 450, z czego na literaturę fachową, obejmującą działy matematyki, nautyki, prawa morskiego, mechaniki, i popularno-naukowy przypada 150 tomów. Resztę stanowi beletrystyka.

80 proc. stanu obecnego stanowią książki, zakupione już po wojnie. Pozostałe 20 proc. to książki ofiarowane, lub odzyskane z biblioteki przedwojennej P. S. M. Część książek polskich oraz większość angielskich są **darem Szkoły Morskiej przy University College w Southampton, Związku Armatorów Polskich, oraz poszczególnych polskich towarzystw okrętowych, jak G. A. L., Bałtycka Spółka Okrętowa, A. Faller (dawniej „Polskarob").**

Jeszcze teraz literatura w językach obcych jest liczniej reprezentowana niż w języku ojczystym. Mianowicie: biblioteka angielska obejmuje 530 tomów, z czego 500 stanowią dzieła fachowe, francuska 37 tomów, w czym 24 dzieła fachowe, rosyjską 20 tomów, niemiecka 800 tomów literatury fachowej. Na inne języki przypada 10 tomów. Poza wymienionymi znajduje się w posiadaniu bibliotek kilkanaście egzemplarzy wydawnictw Lloydu angielskiego i francuskiego Bureau Veritas, kilkadziesiąt periodyków, wydawnictw stacji meteorologicznych i wiadomości żeglarskich.

ŻYCIE SPORTOWE

W przeciwieństwie do miesięcy zimowych życie sportowe staje się obecnie na terenie Szkoły bardziej ożywione. W dniu 31 ub. m. rozegrano spotkania towarzyskie w trzech konkurencjach z KKS „Grom" I i KKS „Grom" II.

W rozgrywce piłki nożnej z drużyną KKS „Grom" II, w skład której weszło czterech członków z KKS „Grom" I, uzyskaliśmy wynik remisowy, 3 : 3. Do przerwy prowadzili gospodarze 2 : 0.

W siatkówce pokonaliśmy KKS „Grom" I w dwóch partiach 15 : 12, 17 : 15. Goście osiągnęli natomiast sukces w koszykówce w wysokim stosunku 43 : 24.

W najbliższym czasie przewidziane są mistrzostwa Szkoły w pływaniu. Sekcja pływacka koła sportowego uczniów P. S. M. trenując regularnie przygotowuje się starannie do tych zawodów.

Jerzy S. Kalwasiński

Ilustracje w 3-cim numerze

Zdjęcia na stronie 2 i 3 pochodzą ze zbiorów poniemieckich. Jako autentyki z 1939 roku posiadają wartość dokumentarną. — Artysta-fotograf, Edmund Zdanowski, przybywszy z Wilna, zamieszkał na stałe w Gdyni. Jako współpracownik naszego czasopisma wykonał szereg zdjęć, zamieszczonych w bież. n-rze na str. 1, 7, 9 (sekstans), 11 (z książki M. Leszczyńskiego), 12 i 14. — Na specjalną uwagę zasługuje autentyczne zdjęcie storpedowanego statku dokonane przy brzegach Libii w 1943 r. (str. 12). Otrzymaliśmy je z m/s „Lewant".

K. I. Gałczyński wśród współpracowników redakcji „Wiatru od Morza" (str. 14) — od lewej strony ku prawej stoją: red. J. Stępowski, M. Gregorek, dyr. Delegatury Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" w Gdyni, M. Stobiecka, lwowska poetka, E. Martuszewski, K. I. Gałczyński, A. Gregorkowa i E. Misiołek.

Zdjęcie akwaforty, przedstawiającej ruiny kościoła św. Katarzyny w Gdańsku (str. 8) — z „Teki Gdańska" artysty-grafika Stanisława Rolicza.

KOLEGIUM REDAKCYJNE: Marian Brandys, Janusz Stępowski, Bolesław Wit Święcicki.

REDAKTOR NACZ.: Janusz Stępowski. Redaktor przyjmuje we wtorki i piątki od godz 10 — 12. **REDAKCJA i ADMINISTRACJA:** Gdynia, Mściwoja Nr 9, I p. telefon 222-60

WYDAWCA: Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik" Tłoczono w drukarni „Czytelnik" Nr 8, Gdynia, Mściwoja Nr 7, W-00172